SOBOTA 5 VII 1980 Cena 1,50 zł
Nr 78

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

KLAN

RAPORT „DEPTUSÓW"

Wszyscy członkowie naszego nowo założonego zastępu są „zmotoryzowani", co oznacza, że każdy posiada pojazd jednośladowy rowerem zwany. I dlatego planujemy mnóstwo wypraw w teren.

„Deptusy" rodzaju męskiego złożyły wizytę w tartaku i przywiozły stamtąd na wózku deski i pniaki, „Deptusy" rodzaju żeńskiego wysprzątały pod czeremchą, zrobiły zasłonę z szyszek i dekoracje z kół i zieleni. Na totemie umieściliśmy, tym razem już wspólnie, deskę z wielką nazwą zastępu. Takim sposobem powstała nasza baza pod czeremchą. Rowery zaś znalazły miejsce w wysprzątanej przez chłopców drwalce przy Klubie Rolnika.

Wszyscy mamy książeczki na Brązową Odznakę Kolarską, możemy się też pochwalić specjalną pieczątką zastępu. Teraz ruszamy w świat.

Zastęp NAL z Wielenia

Południkiem zero dookoła świata

WIELKA BRYTANIA (PAP). Dookoła świata wzdłuż południka zero wędruje już od 10 miesięcy sześcioosobowa grupa brytyjskich podróżników (w tym jedna kobieta). Wyruszyli oni 2 września ub. roku z Greenwich, koło Londynu, na trasę łączącą oba bieguny Ziemi i zamierzają powrócić do punktu wyjścia na jesieni 1982 roku. Pierwsze etapy tej niezwykłej ekspedycji prowadziły przez Francję i Hiszpanię do Afryki. Tam na dwóch samochodach terenowych ekipa przejechała Saharę do Wybrzeża Kości Słoniowej, potem statkiem do Przylądka Dobrej Nadziei i dalej w kierunku bieguna południowego. Antarktydę zamierzają przebyć na saniach motorowych do marca przyszłego roku – potem przez Nową Zelandię i Alaskę do bieguna północnego i przez Spitzbergen z powrotem do Anglii. **(kż)**

POLSKIE MIASTECZKO Z HERBEM... PARYŻA

KALISZ (PAP). Miasteczko Mikstat w woj. kaliskim zwane jest żartobliwie „małym Paryżem". Powód – miasteczko to posiada herb, na który składają się dwie andegaweńskie lilie ze złotą przepaską na białym tle. Podobnym herbem pieczętuje się tylko stolica Francji...

Mikstat leży w Kotl. Grabowskiej, na wsch. krańcu wzgórz trzebnicko-ostrzeszowskich, liczy blisko 3 tys. mieszkańców. Historia grodu sięga X wieku; prawa miejskie otrzymało miasteczko ok. 1366 r. Początkowo należało do Śląska, dopiero za panowania Wł. Jabiełły zostało włączone do Wielkopolski.

(kl)

Pełnia lata, środek wakacji, gorące lipcowe słońce, orzeźwiająca woda. No i ta swoboda, swoboda... Pomyślcie sami – czy może być coś przyjemniejszego?

Fot. **M. Szymański**

***Na Mazurach i Jeziorach Augustowskich – pełnia sezonu. Magią dla wodniaków-kajakarzy jest jak zawsze najpiękniejsza z pięknych – Czarna Hańcza.* (CAF)**

To się nazywa oszczędność!

LITR PALIWA NA... 950 KILOMETRÓW

WIELKA BRYTANIA (PAP). Światowy rekord w oszczędności zużycia paliwa został ustanowiony niedawno przez 20-letniego Carola Darwina z Australii. Na specjalnie skontruowanym wehikule, napędzanym silniczkiem do modeli latających, o pojemności 10 cm^3, przejechał on, leżąc twarzą do ziemi, o kilka centymetrów nad asfaltem przepisowe 10 okrążeń po 14,5 km, z prędkością 25 km/godz. Po przeliczeniu Darwin uzyskał wynik 950 km na litr paliwa. Poprzedni rekord ustanowiony w tej niecodziennej konkurencji w Londynie w zeszłym roku wynosił „zaledwie" 593 km na litr paliwa.

(kż)

Cieszą się sławą dobrą i zasłużoną

POZNAŃ (PAP). W tym roku do sklepów trafi ok. 30 tys. sztuk piłek palantowych produkowanych w poznańskim „Polsporcie". Szyje się je z naturalnych skór. Ich stali odbiorcy, to oprócz krajowych, RFN i Holandia. Kraje te zamawiają u nas również piłki wyczynowe do gry w siatkówkę, piłkę nożną i ręczną. Otrzymują je także kraje socjalistyczne oraz Finlandia, Szwecja, Kuwejt i Jugosławia. Poznańskie zakłady produkują rocznie ok. 400 tys. piłek cieszących się dobrą i zasłużoną sławą. **(kl)**

PRZEJAŻDŻKI PEGAZEM

„Szczęście" to hasło

IV Wakacyjnego Konkursu Poetyckiego!

Czy szczęście jest możliwe, jak je sobie wyobrażacie, co mu zagraża? O czym marzycie, co nadaje sens Waszemu życiu? Pytania te zadałem ogłaszając w numerze 69 z dnia 14.VI.80 r. kolejny Wakacyjny Konkurs Poetycki. Liczę, że postaracie się na nie odpowiedzieć szczerze sobie i mnie, pisząc wiersze, na które czekam do końca sierpnia. Utwory Wasze mogą być dowolnego gatunku i rozmiaru, rymowane i nie, liryczne i satyryczne, smutne, wesołe – jakie chcecie! Możecie przysłać ich każdą ilość!

Laureatom konkursu wręczę nagrody osobiście, a ich wiersze wydrukuję we wrześniu. Dostaną też znaczki „Przejażdżek Pegazem". Czekam więc na Wasze listy – z adresem i wiekiem nadawcy!

Julek

MOUNT EVEREST ZNÓW BEZ SZANS

Historia podbojów Himalajów nie zna podobnej ofensywy. W okresie trzech miesięcy Andrzej Zawada i jego wspaniały zespół dwukrotnie osiągnął wierzchołek Mount Everestu (8.848 m.), a oba wyczyny mają historyczną dla himalaizmu wymowę. Polscy alpiniści raz jeszcze okazali się mistrzami wysokogórskiej wspinaczki.

17 lutego 1980 r. na szczycie świata stanęli Leszek Cichy i Krzysztof Wielicki, wieńcząc skutecznym atakiem pierwszą w dziejach, zimową wyprawę na Czomolungmę. 19 maja tegoż roku Andrzej Czok i Jerzy Kukuczka ponownie pokonali „wielką górę", wspinając się na nią dziewiczym szlakiem, jedną z najtrudniejszych i najniebezpieczniejszych dróg – Filarem Południowym. I tym razem Mount Everest okazał się bezsilny wobec hartu, odwagi oraz mistrzowskiej techniki Polaków. „Góra gór" skapitulowała po raz wtóry.

CIĄG DALSZY NA STR. 3

JAN KOCHANOWSKI I JEGO EPOKA

450 rocznica urodzin Jana Kochanowskiego z Czarnolasu obchodzona będzie w całym kraju. W Radomiu otwarto właśnie wystawę pt. „Jan Kochanowski i Jego epoka". Zgromadzono na niej wiele różnorodnych prac – owoc ogólnopolskiego konkursu związanego z obchodami rocznicy, a wśród nich: pamiątkowe medale, rzeźby, grafiki i plakaty. **(CAF)**

O tym warto wiedzieć

ENERGIA I RYBY Z RUMUŃSKIEJ BYSTRZYCY

Okręg Piatra Neamt, położony w rumuńskiej Mołdawii pomiędzy dwoma masywami górskimi, jest dziś widownią osobliwych kontrastów. Z jednej strony – malownicze, naturalne krajobrazy, z drugiej – wielki przemysł. Z jednej – pozostałe jeszcze z czasów dackich zabytki architektury, z drugiej – nowoczesne osiedla mieszkaniowe. Ale dla mieszkańców tego regionu nie te kontrasty, oszałamiające przybyszów i turystów, są najważniejsze. Raczej – by to, co naturalne i to, co dawne, harmonijnie współistniało z tym, co nowoczesne.

W 1960 r. rozpoczęto tu napełnianie wielkiego zbiornika wodnego na Bystrzycy – o długości ponad 30 km i pojemności miliarda m³. Powstała tu wkrótce elektrownia wodna im. Lenina o mocy 220 MW. Za tą inwestycją hydrotechniczną poszły następne – a przede wszystkim tzw. kaskada Bystrzycy, dająca początek następnym, mniejszym już siłowniom, mającym jednak w sumie moc 454 MW. Dodajmy, że tyle wyniosła w 1938 r. moc wszystkich rumuńskich elektrowni.

A gdy już ujarzmiono Bystrzycę – obfitość taniej energii sprawiła, że rozpoczęła się tu eksplozja przemysłowa. Powstały: ● największa w kraju cementownia Bicaz-Tasca ● kombinat sztucznych włókien w Savinesti, też największy w Rumunii ● wytwórnia nawozów sztucznych w Roznov ● zakłady tekstylne w Buhusi ● walcownia rur w Roman ● tamże – wielka cukrownia, zbudowana zresztą przez Polaków. Jednocześnie całkowicie zmieniło się oblicze stolicy regionu, Piatra Neamt – dziś nowoczesnego miasta, a wokół rozwinęło się intensywne rolnictwo.

Ten rozkwit ujawnił wkrótce także swe poważne cienie. Wody Bystrzycy, gdy idzie o zanieczyszczenie, znalazły się poza wszelką klasą. Budowa oczyszczalni nie postępowała krok w krok z uprzemysłowieniem. Powstałe zbiorniki wodne zaczęły też ulegać zbyt szybkiemu zamuleniu, a spływanie do nich substancji chemicznych, używanych w rolnictwie, doprowadziło do nadmiernej żyzności wód (czyli ich eutrofizacji). Oznacza to nie tylko fatalne zagrożenie dla życia w wodach, ale i dla energetyki, bo powoduje zarastanie zbiorników niektórymi tylko gatunkami roślin, a w końcu – ich wypłycenie i zmniejszenie pojemności. Na szczęście – w porę przyszła pomoc.

Naukowcy, mający swój ośrodek badawczy w starym XVIII-wiecznym monastyrze, uderzyli na alarm i rozpoczęli wszechstronne badania. Po czym – zaczęto tworzyć w oparciu o nie program należytego zagospodarowania tego, co stworzyła przyroda i co wybudował człowiek.

Przeciw zamulaniu i eutrofizacji wytoczono broń biologiczną – m.in. wprowadzono gatunki żarłocznych, oczyszczających zbiorniki z nadmiaru roślin ryb. Dzięki temu dziś wody służą energetyce i gospodarce rybackiej; w samym tylko gospodarstwie ośrodka łowi się rocznie 40–50 ton ryb z ha lustra wody. Zaczęto też przeciwdziałać erozji gleb, lepiej organizując gospodarkę leśną. Skutek – lepsze plony na polach i w lasach. Zaś zapory i kaskady są stale pod okiem biologów, którzy mówią, jakie organizmy mogą żyć w ich sąsiedztwie, jeżeli energetyka, rybołówstwo, rolnictwo i wypoczynek mają rozwijać się w zgodzie itd., itd. – Piszemy tu o tym, bo dziś wszędzie na świecie potwierdza się fakt, że tylko zgodne współdziałanie wielu użytkowników naturalnych dóbr gwarantuje, że wszyscy będą mieli z tych dóbr należyty pożytek... (tok)

„Z powrotem na Ziemię" (5)

W Mnikowskim Wąwozie i na Wyspie Wielkanocnej

JACEK LECH

Różnego typu i skali oszustwa, mistyfikacje oraz przedziwne pseudoteorie towarzyszą rozwojowi nauk o najdawniejszych dziejach człowieka, od czasów pierwszych badaczy starożytności po dzień dzisiejszy. Nie są to zjawiska częste, raczej rzadko zdobywają szerszy rozgłos, lecz dzięki niezwykłości „odkryć" czy też rewolucyjności nie umotywowanych „teorii" przyjęcie ich lub odrzucenie musi mieć zwykle poważne reperkusje naukowe. Z reguły upływa dużo czasu, nim dane fałszerstwo zostanie ostatecznie zdemaskowane. Bałamutne koncepcje bywają szybciej zapominane, chyba że stają się mitami. Na korzyść nauki przemawia fakt, że na ogół większość badaczy zajmujących się problemem zachowuje sceptycyzm w stosunku do upozorowanych „rewelacji". Przykładów można przytoczyć wiele ze wszystkich krajów, w których badania najdawniejszej przeszłości człowieka i jego kultury trwają od dłuższego czasu. Nie brak ich w dziejach archeologii Polski.(...)

Pouczającego przykładu konieczności stałej kontroli naukowej w trakcie badań wykopaliskowych dostarczyła historia fałszerstwa, którego ofiarą stał się jeden z najlepszych archeologów polskich XIX w. – Gotfryd Ossowski. Z prowadzonych w latach 1880–1883 badań w jaskiniach malowniczego Wąwozu Mnikowskiego, w okolicach Krakowa, uzyskał on ogromną kolekcję 8 tys. wyrobów kościanych o najróżnorodniejszych kształtach – od antropomorficznych, przez figurki zwierząt i ptaków, noże, widelce, po tarcze herbowe i cyrkle. Od początku wzbudziły one podejrzenie fałszerstwa. I znowu obok krytyków – należeli do nich m.in. wiedeńscy archeolodzy prof. J. Szombathy i dr M. Much oraz francuski prahistoryk A.de Mortillet – znaleźli się zagorzali obrońcy znalezisk, między innymi O.Tischler, dyrektor Muzeum Archeologicznego w Królewcu, czołowy niemiecki archeolog drugiej połowy XIX w.

Niektórzy, jak Francuz E. Cartailhac, profesor Uniwersytetu w Tuluzie, wyrażali przypuszczenie, iż fałszerstwo to zostało popełnione dla „skompromitowania archeologów i archeologii przedhistorycznej". W tej sytuacji G. Ossowski zwraca się do Komisji Antropologicznej Akademii Umiejętności w Krakowie o powołanie Komitetu dla zbadania autentyczności wykopalisk mnikowskich. Po kilkumiesięcznych intensywnych pracach utworzony Komitet wypowiedział się za autentycznością wyrobów kościanych z Mnikowa, oceniając tylko różnie ich wiek. Publikacja rezultatów obrad Komitetu nie rozwiała istniejących wątpliwości. Wydawało się, że już nic nowego w kwestii wykopalisk mnikowskich nie może się wydarzyć. Niefortunny odkrywca zmarł w Tomsku na Syberii w 1897 r. Tymczasem, niespodziewanie, w 1929 r., nastąpiło ostateczne rozwiązanie sprawy. Na posiedzeniu Komisji Antropologii i Prehistorii Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie 11 czerwca dr G. Leńczyk przedstawił sprawozdanie z majowej wycieczki odbytej do Mnikowa. Gdy rozmowa z przypadkowo spotkanymi włościanami zeszła na dawne badania, jeden z nich opowiedział o powstaniu figurek. Oto, co zreferował zebranym dr. G. Leńczyk: *„Opowiadający był wtedy małym chłopcem, sam udziału w wykopaliskach nie brał, ale pełnił funkcje chłopca do usług przy panu Ossowskim. Przypomina sobie, że w jaskiniach wykopywano różne kości, czasem bardzo wielkie, o których mówiono, że to z takiego wielkiego zwierza, co się nazywa mamut. Co do rzeczy wyrabianych z kości twierdzi, że takich nie znajdowano, tylko dorośli parobcy ze wsi, zajęci przy robocie, ze znajdowanych w jaskiniach kości wyrzynali różne rzeczy, zazwyczaj siedząc za skałką: opowiadającego odganiali, aby ich nie podpatrywał i nie zdradził przed panem. Pan Ossowski czasem tylko przychodził, zwykle około 10 rano; mieszkał dość daleko, na leśniczówce. Robotnicy rzeczy te, przez siebie wyrzynane i umyślnie uwalane ziemią, dawali mu jako znalezione w jaskini".*

Megalityczne posągi z Wyspy Wielkanocnej (repr. W. Mroczek)

Przykładem do czego prowadzą próby interpretowania znalezisk archeologicznych wg swojego widzimisię jest historia tego szkieletu. Znaleziony on został w Oeningen (Górna Badenia) z początkiem XVIII wieku i dostał się do rąk pewnego szwajcarskiego lekarza, który całe swoje życie poświęcił na poszukiwania pozostałości po Adamie i Ewie, Kainie i Ablu, biblijnym potopie itp..

Scheuchser był przekonany, iż po wielu latach poszukiwań znalazł wreszcie szczątki prawdziwego świadka potopu, czyli utopionego grzesznika! Napisał na ten temat w roku 1726 uczoną rozprawę, ozdobioną nie tylko znakomitą ilustracją – tą właśnie, którą widzicie – ale i wierszykiem własnego autorstwa:

„Smętny kościotrupie starego grzesznika
Wzrusz, skało, serca dzisiejszych grzeszników"

Na nic się nie zdały opinie przeciwników fanatycznego lekarza, którzy próbowali zwracać uwagę opinii publicznej – zafascynowanej znaleziskiem – na zupełną niezgodność anatomiczną tego szkieletu ze szkieletami ludzkimi.

Ostatecznie sprawę rozstrzygnął dopiero 70 lat później Jerzy Cuvier, twórca anatomii porównawczej i paleontologii. „Stary grzesznik" okazał się po prostu szkieletem ogromnej salamandry trzeciorzędowej... (jd)

Fot. archiwum

Dr Jacek Lech jest prahistorykiem, specjalistą z zakresu epoki kamienia – adiunktem w Zakł. Epoki Kamienia w Inst. Historii Kultury Materialnej PAN w Warszawie.

Sprowadzeni do Krakowa w listopadzie 1929 r. trzej żyjący jeszcze robotnicy z Mnikowa rozpoznali w pokazanych im wyrobach z kości dzieło własnych rąk i złożyli odpowiednie zeznanie przed komisją wyłonioną w Muzeum Archeologicznym PAU. Aby wyjaśnić czytelnikowi tak wielkie zamiłowanie pracowników Gotfryda Ossowskiego do sztuk pięknych, należy dodać, iż nieświadomy faktów uczony płacił za wyrzynane przedmioty od 3 do 5 centów za sztukę. „Artyści" za swą twórczość mieli przy wypłatach dodatkowo niebagatelne sumy, sięgające nieraz 4 złotych reńskich.

CIĄG DALSZY NA STR. 5

Podjadanie

Na polanie rozległ się znany wszystkim dawnym i dzisiejszym obozowiczom sygnał – „weź menażkę, idź po kaszkę". Nie kaszka jednak była w tym dniu na obiad, lecz jarzynowa i żeberka w sosie chrzanowym, oczywiście, z ziemniakami i mizerią. Pycha, bo obozowe kucharki znają się na kulinarnych sprawach doskonale. Zebrane na obozowej stołówce towarzystwo, od szarż po „maskotkę" obozu, najmłodszego zucha Jędrusia, zajadało więc z ogromnym apetytem i niezbyt dyskretnym mlaskaniem. Kończącą się już ucztę prawie setki druhen i druhów zakłócił jednak doniosły głos z kuchni. A jak się później dowiedziałem, ten głos „zakłóca" uczty prawie codziennie.

– Druhu, znowu zabrakło dla nas porcji! – Szefowa obozowej kuchni, wyraźnie rozżalona i poirytowana, szurnęła po kuchennym stole talerzem aż sos bryznął na dopiero co umytą podłogę. Następnego dnia historia się powtórzyła, z tą tylko różnicą, że porcji „zwyczajnej" brakło również dla zastępu służbowego, który nakrywał do obiadu. Kuchenny personel z szefową na czele i druhny z zastępu „Kozic" znowu zajadali ziemniaki z sosem bez powszechnie uznawanego za podstawę obiadowego posiłku kawałka mięsiwa.

Podenerwowany „tajemniczym" znikaniem części porcji mięsa lub kiełbasy szef żywnościowy obozu udowodnił, że „do kotła" wydaje się zwykle nieco więcej niżby należało, czyli o kilka porcji ponad obowiązującą normę. Cóż więc u licha dzieje się, że ciągle ich brak? Co dowcipniejsi druhowie z zastępu „Astronautów" ukuli teoryjkę, że w bezpośrednim sąsiedztwie obozowej kuchni wylądowało UFO z gromadką łakomych Kosmitów na pokładzie, którzy zasmakowali właśnie w duszonych żeberkach, wołowince w sosie koperkowym i kiełbaskach, a że obce jest im uczucie moralności, podkradają je więc kucharkom nie dbając o ich puste żołądki.

Teoryjka o UFO i Kosmitach pozostała teoryjką, ale okazała się tyle bliska rzeczywistości, że porcje mięsiwa i kiełbaski z obozowej kuchni wędrowały do żołądków, wprawdzie nie przybyszów z Kosmosu, ale licznych obozowych i pierwszego „po Bogu" gości.

Zdrożony wędrówką po lesie Pan Leśniczy, wyczerpana wnikliwą kontrolą obozowej biurokracji Wysoka Komisja, przybyły w odwiedziny Zaprzyjaźniony Urzędnik, pragnący spędzić na łonie natury wolny od pracy dzień, Serdeczny Przyjaciel druha komendanta czy druha zaopatrzeniowca – też chcą przecież coś zjeść, a apetyt mają tym większy, że za darmo i „po obozowemu", co im przy okazji przypomina ich „szczenięce" lata i przypaloną obozową grochówkę. Zajadają więc przeznaczone dla kucharek, a nierzadko również dla zastępu służbowego porcyjki, ze smakiem i wzruszeniem, bo wzruszenie zawsze towarzyszy wspomnieniom, szczególnie snutym przy obozowym stole z pnia czy surowych desek sośniny.

Porcyjki „dla gości" nie zawsze odbywają drogę przez obozową kuchnię, lecz wprost z magazynu wędrują na gościnny stół, rozłożony gdzieś w leśnym zaciszu lub w położonym na uboczu namiocie gospodarza. Wtedy porcji dla kucharek i służbowego zastępu nie brakuje, są tylko nieco mniejsze, z niedowagą. Ten sposób podjadania niektórzy uważają za lepszy, bo nikt przecież wagi z sobą na obóz nie zabiera, a i upominanie się o deko lub dwa „zwyczajnej" – to przecież wstyd.

Księgowy, a zarazem magazynier opisanego obozu – to arcymistrz sztuki księgowania i prowadzenia magazynowych kwitów. Wszystko się u niego zgadza co do grama. Ale i tak wszyscy wokół wiedzą, że buchalteria sobie, a rzeczywistość jest taka, że z kuchni często dobiega głos: – Druhu, znowu zabrakło dla nas porcji! A pod płótnami namiotów druhny i druhowie snują przeróżne domysły, dlaczego porcje są „takie niedoważone".

A może by jednak wydawanie posiłków dla gości poddać społecznej kontroli druhen i druhów – uczestników obozu? Wstydliwa to sprawa, żeby szeregowi kontrolowali szarże, ale w takich przypadkach innego wyjścia chyba nie ma.

RYSZARD RATAJCZYK

Linia wykropkowana – droga Filarem Płd. Linia ciągła – droga klasyczna

Mount Everest w całej okazałości

„Polska droga" na szczyt świata

MOUNT EVEREST ZNÓW BEZ SZANS

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Andrzej Zawada wspina się od lat kilkudziesięciu, ale dopiero teraz ziściło się życiowe marzenie tego 52-letniego inżyniera-geofizyka z Warszawy. Długo czekał na swą szansę, walczył o nią i dopiął swego. Pragnął dokonać wyczynu o historycznym wymiarze, a zawsze wierzył, że polski alpinizm stać na takie przedsięwzięcie. Podwójny atak na Mount Everest był właśnie tym wymarzonym celem. Ale szturm utartymi szlakami Zawady nie zadowalał. Próba musiała być oryginalna, wnosząca nowe, polskie osiągnięcia w historię podbojów gór najwyższych.

A więc najpierw pierwsze w dziejach wejście zimowe – w skrajnie trudnych i nie znanych dotąd nikomu warunkach. Niesyty sukcesu, porwał się Zawada na następną niebezpieczną i arcytrudną próbę – atak karkołomnym Filarem Południowym, drogą, której nie pokonał nikt. I ten atak przyniósł pełne powodzenie.

Andrzej Zawada był inspiratorem i kierownikiem obu wypraw, jemu też należy się miejsce wyjątkowe w obu przedsięwzięciach. Nigdy jednak ten wybitny alpinista i organizator nie zrealizowałby swoich ambitnych planów, gdyby nie miał do dyspozycji tak twardych, odważnych i gotowych na wszystko kolegów jak Leszek Cichy, Krzysztof Wielicki, Andrzej Czok, Jerzy Kukuczka, Andrzej Heinrich, Ryszard Gajewski, Wojciech Wróż, Eugeniusz Chrobak czy inni uczestnicy obu niezwykłych wypraw.

Torowanie szlaku

Rzadko docierały do nas informacje o wiosennym szturmie Filarem Południowym. Ta ekspedycja nie dysponowała bowiem radiostacją dalekiego zasięgu, więc meldunki z „Filaru" były skąpe i fragmentaryczne.

Pierwszym z bohaterów wyprawy Filarem Południowym, który wrócił do kraju, był Eugeniusz Chrobak, jeden z najbardziej aktywnych uczestników ekspedycji, alpinista o światowej renomie. Wśród wielu poprzednich osiągnięć Chrobaka dwa zwłaszcza przyniosły mu rozgłos i uznanie. W 1976 r. wraz z Wojciechem Wróżem atakował drugi co do wysokości szczyt świata – K-2 (8.611 m.); do celu zabrakło im ledwie 200 metrów. Dwa lata później, także w parze z Wróżem, zdobył Chrobak dziewiczą Kanczendżangę Południową (8.491 m). Himalaje zna więc znakomicie i nic go właściwie zaskoczyć tam nie było w stanie. A jednak...

„Zaczęliśmy działalność jeszcze w marcu – wspomina – kiedy karawana z żywnością, była jeszcze w Lukli, a Andrzej Zawada ubiegał się w Kathmandu o potwierdzenie oficjalnego zezwolenia na atakowanie Everestu. Nasza grupa korzystała z miesięcznego zezwolenia turystycznego, bez możliwości podejmowania działalności wysokogórskiej. Nie chcieliśmy jednak tracić czasu. Ruszyliśmy w górę. Baza na lodowcu Khumbu (3.350 m), obóz pierwszy na lodospodzie Ice Fall (6.200 m) oraz obóz drugi w Dolinie Milczenia (6.500 m) stały jeszcze od czasów wyprawy zimowej. Korzystaliśmy z pozostawionych tam zapasów żywności, a także z resztek sprzętu.

Ewolucja na Filarze

Naszym zadaniem było założenie obozu trzeciego, już na Filarze Południowym, za jego szczeliną brzeżną. Pokonanie tej właśnie przeszkody nastręczało wiele kłopotów. Owa szczelina, powstała między południową ścianą Everestu a lodowcem Khumbu, ma kilkadziesiąt metrów głębokości i kilkanaście szerokości. Znaleźliśmy jednak drogę w miejscu, gdzie śnieżna lawina wypełniła czeluść i powstał „most". Na początku kwietnia stanął więc obóz trzeci (7.300 m), a droga do niego została oznakowana. Zabezpieczało ją 19 osiemdziesięciometrowych lin. Od momentu rozpoczęcia akcji mijał prawie miesiąc.

Wówczas to dołączyli do nas pozostali uczestnicy wyprawy oraz Szerpowie z nowymi zapasami żywności i sprzętu. Przybył także z formalnym zezwoleniem na atakowanie Everestu Andrzej Zawada. Byliśmy w komplecie. Pogoda była „średnia", chociaż codziennie padał gęsty śnieg, stwarzając niebezpieczeństwo lawin. Rozpoczynał się najtrudniejszy etap...

Klucz do sukcesu

Dopiero po 15 dniach udało nam się założyć na skalnej platformie Filaru obóz czwarty (8.100 m). To była mordercza harówka. Wytyczyliśmy naszą drogę nieco na prawo od ostrza Filaru, lodowym stokiem o nachyleniu do 60 stopni. Pod nogami lód, śnieg, firn. Ciągnęliśmy za sobą liny, by zabezpieczyć karkołomny szlak. Potem bowiem, tędy właśnie, mieliśmy wielokrotnie piąć się w górę i schodzić w dół, obciążeni bagażem, sprzętem, żywnością, butlami tlenowymi. 800 metrów w pionie dzieliło obóz trzeci od czwartego. To był najdłuższy, a jednocześnie najbardziej stromy i niebezpieczny odcinek.

Tempo akcji zwalniały też perypetie ze zdrowiem. Kilku z nas, w tym i ja, chorowało na zapalenie gardła. Wyjałowiony organizm był bezsilny wobec bakterii, które „wnieśli" ze sobą z dołu najprawdopodobniej Szerpowie. Kryzys na szczęście minął.

Mimo oznaczeń droga w dół i w górę była niezwykle uciążliwa. Wprawdzie nogi nie męczyły się tak bardzo, ale za to mocno i bez przerwy pracowały ręce. A bagaż podczas tych wielogodzinnych wspinaczek był często balastem nie do zniesienia.

Powyżej obozu czwartego czekał nas najtrudniejszy problem techniczny tej wyprawy, tzw. „klucz", jak to określamy w języku alpinistycznym. Jego rozwiązanie otwierało nam drogę na szczyt. Była to bariera skalna, o wysokości do 150 metrów, pionowa ściana, wymagająca ekwilibrycznych umiejętności wspinaczkowych. Na początku maja pokonali ją Jerzy Kukuczka i Ryszard Gajewski..

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

TOMASZ TRZCIŃSKI

Fot. M. Szymański i archiwum

Andrzej Czok (z lewej) Jerzy Kukuczka (z prawej) Andrzej Zawada – (zdjęcie środkowe) inspirator i kierownik obu zakończonych sukcesem wypraw na „Górę gór"

SKRZYNKA ZAUFANIA

CHCĘ SIĘ CHŁOPCOM PODOBAĆ

Wkrótce skończę 14 lat. Do tej pory nie przywiązywałam wagi do swojego wyglądu. Od pewnego czasu wśród moich znajomych toczą się dyskusje na temat urody. To spowodowało, że zaczęłam martwić się o siebie. Mam dużo kompleksów. Nie jestem ładna, a do tego szpecą mnie niezliczone krosty na twarzy. Proszę, pomóżcie mi. Zaczynam się zastanawiać czy kiedykolwiek będę miała swoją sympatię, czy znajdzie się ktoś, komu będę się podobać. Napiszcie coś, co mogłoby pocieszyć wszystkie brzydule, które chciałyby podobać się chłopcom. Jesteście „ostatnią deską ratunku".

Renata

Pragnienie powodzenia u chłopców znane jest każdej młodej dziewczynie, chociaż nie zawsze jest ono tak otwarcie uświadomione. Czasem dobrze jest zastanowić się nad sobą, spojrzeć na siebie oczami innych ludzi, oczami na przykład chłopców. W bajce o królewnie Śnieżce cudowne lusterko mówiło bohaterce o jej idealnej urodzie. Pamiętajmy jednak, że to, co czyniło dziewczynę najpiękniejszą, tkwiło w jej charakterze. Ładną buzię zawdzięczała uśmiechowi, podobała się, bo była dobra, uczynna, łagodna.

Czasem wydaje się dziewczynom, że jedynie uroda zapewnić może im powodzenie i przywiązują do zewnętrznych cech zbyt dużą wagę. Rude marzą o czarnych włosach, blade o piegach, wysokie chcą być niskie, z kolei te niskie cierpią z powodu swego mikrego wzrostu. Większość ma pretensje do natury, że w zależności od mody, gustu, czasem przesądu, nie posiadają cech, które czyniłyby je atrakcyjnymi. Te „kameleony", w gruncie rzeczy podobne do siebie, urodę nosiłyby jak obowiązujący mundur. Na szczęście każda dziewczyna posiada cechy, których nie ma jej koleżanka, cechy, które pozwalają wyróżnić ją od innych, które wreszcie składają się na jej indywidualność.

Renato! Piszesz, że masz dużo kompleksów. Trudno zgadnąć, jakie treści kryją się pod tym sloganem. Domyślać się można, że wyrażasz w ten sposób swoje niezadowolenie z własnej osoby. Wiąże się to zapewne z niepokojami dotyczącymi wyglądu zewnętrznego. Jest to przesadna wrażliwość, często u nastolatek spotykana, która może spowodować zaburzenia w psychice. Ten problem jest między innymi przedmiotem badań w psychologii.

Ze swoimi kłopotami z cerą zwróć się do lekarza dermatologa, który zastosuje odpowiednie leczenie. Zamartwianie się nie rozwiąże Twoich problemów, lecz je pogłębi i wyolbrzymi. Odwołanie się do rady lekarza, to najlepsza droga wybrnięcia z kłopotów.

Współczesne czasy stworzyły możliwość dokonywania rozmaitych zabiegów kosmetycznych. Ludzie mogą decydować o kształcie swego nosa, wielkości oczu, plastyce kosmetycznej poddają całe swoje ciało. A jednak tak znane gwiazdy jak Liza Minelli czy Barbra Streisand, których uroda daleka jest od kanonu klasycznego piękna, rezygnują z tych dobrodziejstw na rzecz własnej indywidualności. Nie tracą przy tym powodzenia u publiczności, a także u płci przeciwnej. W tym przypadku talent i wdzięk dystansują urodę.

A Ty, Renato, pamiętaj o tym, że dla 14-letniej dziewczyny nic nie jest ostatecznie przesądzone. Na dzisiaj, schludny wygląd i uśmiech to połowa sukcesu.

Zainteresowanie chłopców, na których nam zależy, powinno łączyć się z podziwem i szacunkiem. W szkole ten szacunek można zdobyć dzięki koleżeństwu, określonym zainteresowaniom, dzięki wiedzy czy np. osiągnięciom sportowym. Czasem dziewczyny chcą zwracać na siebie uwagę chłopców za wszelką cenę. A przecież, każde nienaturalne zachowanie prowadzi do śmieszności.

Pytasz nas, czy kiedykolwiek będziesz miała swoją sympatię. Uważamy, że martwisz się na zapas. Bowiem tę możliwość życie stwarza każdej dziewczynie. Przyjdzie chwila, kiedy zostaniesz zauważona. Chwila ta przychodzi zawsze niespodziewanie. Wtedy szuka się pretekstu do nawiązania zupełnie innych niż dotychczas przyjaźni i sympatii.

Sądzimy, że zrozumiałaś to, że można podobać się niezależnie od swojego wyglądu. Uroda może być pośrednikiem w zawieraniu znajomości pomiędzy rówieśnikami, lecz gdy jest ona jedyną zaletą dziewczyny, to znajomość nie przetrwa długo.

ANNA STUDZIŻBA

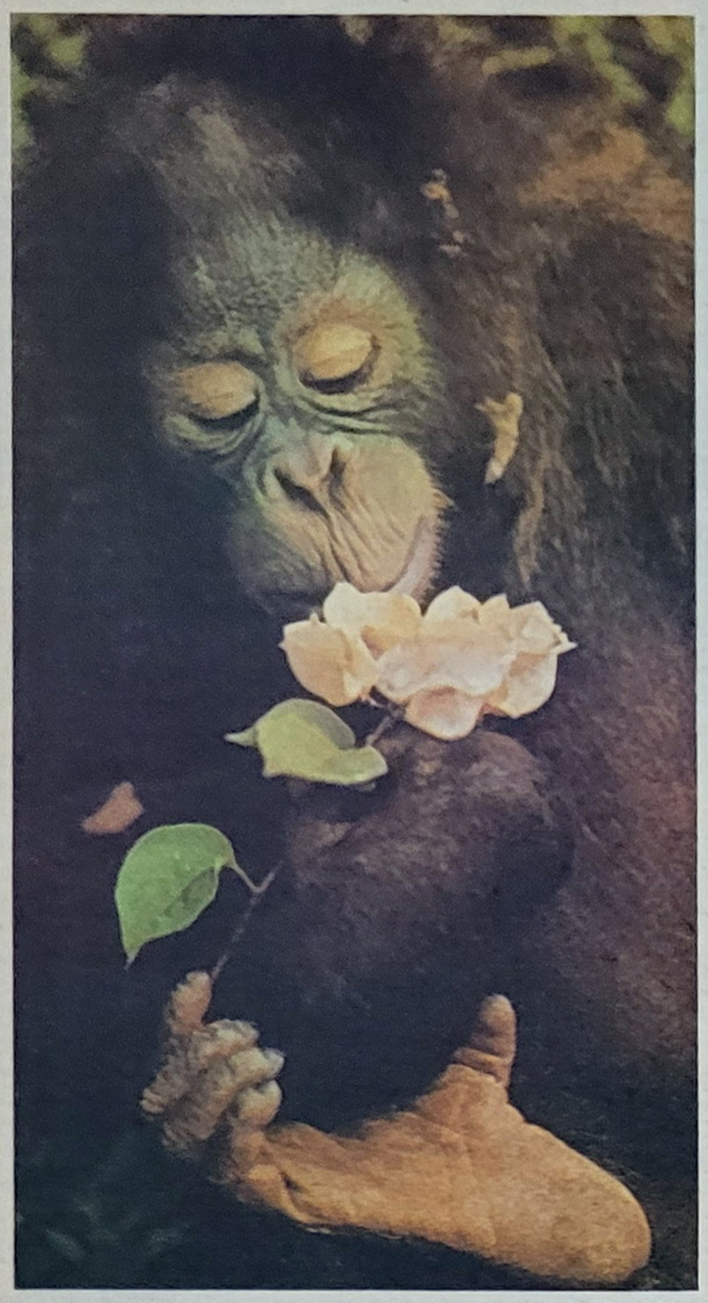

Niektórzy mają psa za przyjaciela, a mój rozmówca ma małpę. Pokazał mi z dumą jej zdjęcie, które też udostępniam i Wam. Ostatecznie nie co dzień widzi się małpę wąchającą różę

KLUB ARTYSTYCZNY

Klub Artystyczny pod wezwaniem Konika Polnego proponuje:

- **NA DESZCZOWE DNI, NA SZARĄ GODZINĘ, NA POGODNE WIECZORY**
- **PRZY OGNISKU, NAD RZEKĄ, W ŚWIETLICY CZY PRZY TRZEPAKU**
- **ZORGANIZUJ I WEŹ UDZIAŁ W WAKACYJNEJ KONKURENCJI POD HASŁEM:**

TURNIEJ ŁGARZY

Gdy minęła 365 minuta opóźnienia pociągu do Małego Raju, straciłam nadzieję, że zdążę na ślub ciotki Klotyldy. Na wesele mogłabym jeszcze zdążyć, wszak trwają one w naszym miasteczku nie krócej niż trzy dni. Pocieszywszy się tą myślą, z przyjaznym nastawieniem do losu zajęłam miejsce przy stoliku w dworcowym bufecie, zamówiwszy napój cytrynowy. Zaraz też przysiadł się do mnie sympatyczny grubas z kuflem piwa. Widać dojrzał we mnie wdzięcznego słuchacza, bo z miejsca zaczął w familijnym tonie doświadczonego wujaszka:

– Cóż, zdarza się czekać, czasem coś się spóźnia, a czasem przychodzi nie w porę... Z dwojga złego lepsze to pierwsze. U nas na wyspę statek zawija tylko raz na dzień i kto na niego nie trafi, umarł w butach, koniec pieśni. Jeśli się spóźnia – w porządku, ale jak przyjdzie nie w porę... Kiedyś straciłem przez to dwa tysiące dolarów!

– **Jak to dolarów? Skąd pan przyjechał?** – zapytałam zdziwiona; ten grubas zaczynał mnie zaciekawiać.

– Mało kto zna wyspę Ostatniej Nadziei w archipelagu Wysp Znikomych na oceanie Niespokojnym. Mieszkam tam od lat 30... Ale wracajmy do tego pechowego piątku... Otóż w naszej gazecie wieczornej „Uśmiech Poranka" pojawiło się ogłoszenie, że jakiś facet z Centerfugi kupi natychmiast przedni Dowcip za dwa tysiące dolarów. Warunek, że musi być osobiście dostarczony przez właściciela i to w sobotę skoro świt. Musiałem jechać już w piątek, jasne. Przystrzygłem Dowcipowi brodę i przed wschodem słońca ruszyłem do przystani. Statek odchodził w południe, liczyłem więc, że będę na miejscu przed czasem. I byłem przed czasem, ale statek już odpłynął nie o czasie. Na brzegu zostało wielu zawiedzionych. Nie mogłem dojść, co się stało. Dopiero w bufecie, siedząc tak jak teraz przy piwie, dowiedziałem się, że żona kapitana była właśnie w szpitalu w Centerfudze. Spodziewała się dziecka. Kapitan spieszył się z kwiatami do żony i odcumował nie w porę... Nie znałem żony kapitana, nie wiedziałem, że jest w ciąży. To był mój błąd. Trzeba z ludźmi żyć...

– **A co z tym Dowcipem? Może pan mnie opowie...**

– No cóż, Dowcip, jak to cap, zestarzał się i już na żadną kozę ani spojrzy. Nie ma z niego pożytku, a dawali dwa tysiące!

Minęło 380 minut i pociąg nie miał zamiaru nadejść. Dźwięczny głos spikerki z dworcowego radia nie odbierał jednak nadziei podróżnym. Ma przyjść, to przyjdzie. Zagłębiliśmy się w czekanie. Sympatyczny grubas opowiedział mi niejedną historię ze swego życia. Okazało się, że nim został hodowcą kóz na Ostatniej Nadziei, był poławiaczem pereł w Jabloneksie, łowcą dzikich zwierząt w Kenii, zaklinaczem węży w Kalkucie, krupierem w Monte Calvaria, rakarzem na Alasce...

– **Kiedy pan zdążył tyle świata objechać, tyle przeżyć?** – pytam zdziwiona; grubas nie miał jeszcze czterdziestki.

– Ma się tę wyobraźnię! Ludzie z wyobraźnią żyją podwójnie, potrójnie, a może i więcej... Gimnastykowałem wyobraźnię od dziecka. Zacząłem od opowieści tłumaczących moje spóźnienia do szkoły, a potem już w wieku dojrzałym kilka razy zdobyłem puchar w Turnieju Łgarzy. Teraz współpracuję z „Uśmiechem Poranka". Ludzie ćwiczą przeważnie muskuły, a wyobraźnia u nich leży odłogiem. Mówię kiedyś jednemu z takich jednostronnych sportowców, że „czuję się jak 500 zł w skrzynce pocztowej." A ten zaperzył się do mnie: „Co pan wygaduje! Kto wrzuca 500 zł do skrzynki pocztowej?! A czy ja wiem kto?

Jest już 392 minuta opóźnienia. Grubas przesiadł się do sąsiedniego stolika. Z ożywieniem opowiada coś młodemu brodaczowi. Brodaczowi oczy olbrzymieją, widać opowieść jest niezwykła. Żałuję, że jej nie słyszę. Może to jednak dobrze. Mam okazję spokojnie spisać, co mnie opowiedział i zachęcić Was do zorganizowania Turnieju Łgarzy. Skoro grubasowi się tak powiodło, tyle świata widział, tyle przygód przeżył, to może i Wam będzie się ciekawiej żyło, jeśli poćwiczycie wyobraźnię. No i sztukę opowiadania. Jak wciągnąć słuchaczy w swoją opowieść, jak nieprawdopodobne uprawdopodobnić, a prawdopodobne uczynić nieprawdopodobnym – uczcie się od mistrzów, od pisarzy i ich bohaterów. Polecam wszystkim zawodnikom wakacyjną lekturę. Sięgnijcie po „Przygody Münchhausena" Gottfrieda Bürgera, „Trzydzieści trzy opowieści" Marka Twaina, „Pamiętniki" Jana Chryzostoma Paska, no i „Przygody dzielnego wojaka Szwejka" Jarosława Haszka. Wszystkie te opowieści mają to do siebie, że można ich słuchać po kilka razy.

Przyjemnej lektury i zwycięstwa w Turnieju Łgarzy życzy szczerze Wam oddany

MAESTRO
Szef klubu Konik Polny

Z Polski – w świat

O TYM, JAK WIELBŁĄD ZOSTAŁ STRAŻAKIEM

Interesujące byłoby prześledzić, jak zdawałoby się niedorzeczne nazwy przypisuje się często różnym produktom i jak paradoksalnie splatają się potem ze sobą ich dzieje, najczęściej oczywiście w sposób nieprzewidziany przez nikogo...

Jeden z polskich samolotów rolniczych, M-18, wyrabiany przez wytwórnię w Mielcu, otrzymał niegdyś nazwę „Dromader", gdyż jego wyraźnie garbata boczna sylwetka bardzo go upodabnia do tego zwierzęcia. Ale przecież wielbłąd większą część życia spędza z dala od obszarów bogatych w roślinność, przemierzając karawanowe szlaki wiodące przez pustynie pozbawione i roślin, i wody. Tymczasem nasz „Dromader" został stworzony właśnie po to, by pracować dla potrzeb roślinności, by chronić ją przed szkodnikami i dostarczać jej wszelkich potrzebnych do życia składników.

Ale, jak się okazuje, nie tylko po to...

„DROMADER" SZYKUJE SIĘ DO LOTU

Polski przemysł lotniczy już od dawna specjalizuje się w produkcji rolniczych samolotów. Początkowo zajmował się tylko przystosowywaniem zwykłych samolotów dla potrzeb rolnictwa. Jednak wkrótce zaczęły powstawać samoloty specjalne – wąsko wyspecjalizowane w wykonywaniu różnych zadań. Tak w Polsce powstały: PZL 101 „Gawron", PZL-106 „Kruk" oraz pierwszy w świecie samolot rolniczy o napędzie odrzutowym PZL M-18 „Belfegor".

Sława polskiego przemysłu lotniczego – również w tej specjalności – spowodowała, iż amerykańska firma Rockwell International zwróciła się do nas z propozycją podjęcia w Polsce produkcji ich samolotu rolniczego „Thrush – Commander" S-2R. Propozycja ta była związana również z faktem, że tylko w Polsce produkowano nadal tłokowy silnik gwiazdowy o dużej mocy, właśnie odpowiedni dla tego samolotu. Silnik ten to ASz-62 TR o mocy 736 kW (1000 KM).

Tymczasem w świecie zaniechano produkcji takich silników z powodu zbyt małego zapotrzebowania na nie. Realizacja propozycji amerykańskiej firmy wymagała przystosowania ich samolotu do tego silnika. Ale w trakcie tych zamierzeń polscy konstruktorzy – może dbając o swoją markę specjalistów w dziedzinie samolotów rolniczych, a może też ze zwykłej im potrzeby ciągłego ulepszania – uważnie przyjrzeli się amerykańskiemu płatowcowi. Po analizie jego konstrukcji doszli do wniosku, że wprowadzając pewne w niej zmiany można poprawić użytkowność samolotu. Tym bardziej że właśnie taką szansę dawał nowy silnik. W rezultacie, w wyniku kooperacji z amerykańską firmą – bowiem trzeba przecież było uwzględniać jej życzenia – ponadplanowo powstał prawie zupełnie nowy samolot, o nowych i lepszych właściwościach użytkowych niż jego amerykański pierwowzór. Jest to już duży samolot rolniczy o stosunkowo wielkim udźwigu. Pojemność jego zbiornika na chemikalia – nie tylko proszki, ale i płyny – wynosi 2500 litrów. Z powodu jego garbatej sylwetki kadłuba, co poprawiało widoczność do przodu, nazwano go właśnie „Dromader".

I tak „Thrush – Commander" przepoczwarzył się w jednogarbnego wielbłąda...

Głównym konstruktorem tego samolotu jest mgr inż. Józef Oleksiak. Pierwszy lot prototypu odbył się 27 sierpnia 1976 roku. Dokonał tego pilot doświadczalny, mgr inż. Andrzej Pamuła. Do końca 1978 r. wykonano – oprócz 2 prototypów – 7 samolotów serii informacyjnej. Oprócz nich, do wiosny 1980 roku zbudowano już 30 sztuk.

„Dromader" był przedstawiany na kilku międzynarodowych wystawach lotniczych, również na dorocznym i mającym bardzo długą tradycję salonie lotniczym w Paryżu. Wszędzie wzbudzał duże zainteresowanie, ale ubiegły rok zadecydował także o jego innej karierze...

WODA NIŻEJ!

Pożary lasów, a szczególnie ich rejony trudno dostępne dla naziemnych środków lokomocji zawsze były bardzo niebezpieczne. Ujawnienie zalążka pożaru w takim miejscu wymaga szczególnie szybkiego przeciwdziałania. Niestety, w czasie każdego pożaru lasu dostęp do jego ogniska bywa bardzo trudny, toteż ratunku w takim przypadku szukano od strony nieba, ale nie tyle w postaci deszczu naturalnego lecz raczej sztucznego, rozsiewanego przez samoloty.

Możliwości wykorzystania właśnie samolotów rolniczych dla celów ochrony przeciwpożarowej lasów znane były już od dawna. Posiadały one przecież zbiorniki o dużej objętości, które zamiast chemikaliami można przecież napełniać również wodą. Trzeba je tylko wyposażyć w odpowiednie „polewaczki", czyli odpowiedniejsze dla tego celu rozpraszacze płynu. W Polsce, przede wszystkim właśnie z powodu dużej produkcji samolotów rolniczych, także i tę potrzebę musiano wziąć pod uwagę. I już 11 października 1978 roku w powietrze wzleciała pierwsza przeciwpożarowa wersja „Dromadera".

W ubiegłym roku przeciwpożarowy „Dromader" został zademonstrowany we Francji, gdzie wziął udział w wielkiej, prawdziwej akcji gaszenia pożarów lasów. Jego praca była równocześnie pilnie obserwowana przez ekspertów w dziedzinie gaszenia pożarów dużych kompleksów leśnych i zyskała wysoką ocenę. W rezultacie Francja zamówiła kilkadziesiąt „Dromaderów" w wersji przeciwpożarowej.

Również w ubiegłym roku zwykły, rolniczy „Dromader" został przedstawiony w Kanadzie, której największymi bogactwami są jak wiadomo – rolnictwo oraz lasy. Tak się złożyło, że w tym samym czasie ogłoszono tam konkurs na samolot przeciwpożarowy. Wobec tego PZL wzięło w nim z miejsca udział, demonstrując i takie możliwości swojego „Dromadera". W rezultacie kanadyjska firma Norfolk Aerial Spraying Ltd, zakupiła natychmiast 6 naszych samolotów przeciwpożarowych, a obecnie zamówiła następne 6 sztuk, które zresztą już zostały wysłane.

I tak wielbłąd stał się strażakiem...

LESZEK KOMUDA
Fot. **archiwum**

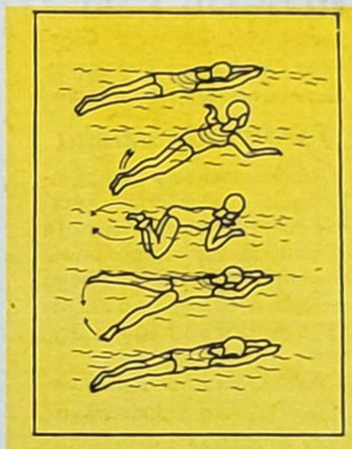

Uczymy się pływać (3)

Żabką na piersiach

Pozycją wyjściową do pływania żabką na piersiach jest swobodne leżenie na wodzie z ramionami wyciągniętymi do przodu, lekko ugiętymi w łokciach, dłonie na płask tuż pod powierzchnią wody, stykają się ze sobą palcami wskazującymi. Nogi złożone i wyprostowane w biodrach i kolanach, pięty tuż pod powierzchnią wody, głowa na wodzie tak, aby twarz była zanurzona tylko do uszu, mięśnie całego ciała rozluźnione.

Ruchy ramion. Z pozycji wyjściowej dłonie skręcają się na zewnątrz i uginają w nadgarstkach energicznie naciskając wodę w dół i na zewnątrz. Praca dłoni wspomagana jest pracą całych ramion, które, nieco ugięte w łokciach, naciskają wodę w dół i do boków. W momencie dojścia ramion do linii barków kończy się wiosłowanie i zaczyna powrót do pozycji wyjściowej: ramiona silnie uginają się w łokciach opuszczających się w stronę boków ciała, przedramiona kierują się do środka i stykają pod brodą, prostują się i przesuwają pod powierzchnią do pozycji wyjściowej.

Ruchy nóg. W momencie powracania ramion do przodu nogi wolno i miękko zginają się w stawach biodrowych i kolanach. Uda opadają w dół, rozchylając jednocześnie kolana na zewnątrz, podudzia i stopy unoszą się w górę. Po dojściu stóp w pobliże pośladków rozpoczyna się napędowa praca wiosłująca, którą zapoczątkowują stopy: skręcają się jeszcze bardziej palcami na zewnątrz i wraz z podudziami wykonują energiczny, kolisty ruch zagarniający wodę. W końcowej fazie wiosłowania następuje energiczne zagarnięcie wody stopami i podudziami i wypchnięcie jej przez złączenie wyprostowanych nóg (rys. 1). Po każdym skończonym cyklu ruchów wiosłujących nóg następuje krótka przerwa (podobnie jak po ruchu ramion), w czasie której ciało posuwa się do przodu nadanym mu rozpędem.

Oddychanie. Z ruchem ramion i nóg musi być skoordynowana praca płuc. W czasie wiosłującego ruchu ramion w dół i w bok barki i głowa unoszą się na taką wysokość, aby usta mogły wykonać wdech. Wydech następuje w momencie powrotu ramion do przodu. Twarz zanurza się do wody i stopniowo wykonuje wydech powietrza nosem i ustami. Wykonując wdech – nie podnoście głowy za wysoko, a przy wydechu nie zanurzajcie jej zbyt głęboko. Oddech powinien przypadać na jeden pełny cykl ruchów ramion i nóg.

W następnym odcinku – żabka na grzbiecie.

Szef KS „OLIMPIJCZYK"

REDAKCYJNA POCZTA

Nieść pomoc starszym ludziom

Gdy byłam młodsza, zawsze oglądałam „Klub Niewidzialnej Ręki" i moim marzeniem było móc pomagać osobie starszej, samotnej, opuszczonej. W środowisku, w którym dotąd się obracałam, nie było do tego okazji. Po skończeniu ósmej klasy postanowiłam iść do Studium Wychowania Przedszkolnego. Egzamin zdałam i obecnie już jestem uczennicą tej szkoły. I właśnie w tym mieście, w którym się uczę, zrealizowałam moje marzenia. Pewnego dnia wracając do domu spostrzegłam dwie panie. Jedna starsza, a druga młodsza. Usłyszałam jak starsza pani poprosiła młodszą, aby ta ją przeprowadziła przez jezdnię, bo ona jest słaba, chora na cukrzycę i niedowidzi. Gdy młodsza pani spełniła prośbę i odeszła, ja podeszłam do staruszki i zapytałam czy mogę w czymś pomóc. Zaproponowałam jej, że odprowadzę ją do domu. Bardzo się ucieszyła. Po drodze wstąpiłyśmy do apteki, wykupiłyśmy leki. W mieszkaniu tej pani było bardzo brudno, naczynia brudne. Posprzątałam, pomyłam naczynia, ugotowałam obiad. Powiedziałam sobie, że będę się nią opiekowała. Dziś, gdy weszłam do jej mieszkania, powiedziała, że jak wchodzę, to przynoszę słońce. Czuję, że ta pani jest bardzo szczęśliwa, że jej pomagam. Myślę, że wielu jest na świecie ludzi starszych, potrzebujących opieki. Koleżanki mówią, że znudzi mi się ta pomoc, ale ja wiem, że nigdy o niej nie zapomnę i zawsze znajdę chwilę czasu, żeby pomóc starszej pani. Proszę o wydrukowanie mojego listu, aby był on przykładem dla koleżanek i kolegów. Niech się nie wstydzą wyjść na spacer ze starszą osobą, bo na przykład ja w tej roli czuję się szczęśliwa.

Lucyna – 16 lat
z Zagórza koło Kielc

Nieprzespane noce

Mam 14 lat. Poznałam i pokochałam chłopca o trzy lata starszego ode mnie, imieniem Darek. Chodziliśmy ze sobą cztery miesiące, spotykaliśmy się dwa, a nawet trzy razy w tygodniu. Po czterech miesiącach powiedziałam mu, że dzisiejsze spotkanie jest naszym ostatnim spotkaniem, bo rodzice wszystko wiedzą i nie możemy się już spotykać. Gdy skończyłam, spojrzał na mnie takim wzrokiem jakby czuł żal do mnie. Ujrzałam wtedy na jego policzkach łzy. Zrobiło mi się głupio, ale nie mogłam tego odwołać, choć z chęcią bym to zrobiła.

Po kilku dniach dowiedziałam się, że Darek wyjechał. Nie sypiałam po nocach, bo myślałam cały czas o nim. Gdy byłam chora, odwiedzały mnie koleżanki, a między nimi także moja najlepsza koleżanka Marzena, która chodziła z kolegą Darka – Wojtkiem. Marzena poinformowała mnie, że Darek mnie bardzo kochał i nadal kocha. A nocami myśli o mnie i patrzy na małego kominiarzyka na rzemyku, którego podarowałam mu na spotkaniu.

Poradźcie mi, co mam robić, jak się zachowywać, czy warto nie przesypiać nocy, myśląc cały czas o nim?

Zakochana

***OD REDAKCJI:** Jeśli Twoja propozycja przerwania znajomości z Darkiem miała być „próbą" jego uczuć; to można powiedzieć, że wygrałaś tę próbę. Oczywiście jesteśmy zdania, że nie warto nie sypiać po nocach. Najlepiej będzie, jeśli spotkasz się z nim i przerwiesz to trudne dla Was obojga milczenie (mi)*

Drogi WAGABUNDO IKS – czytam w licznych listach od wagabundów z całego kraju – napisz nam o kuchenkach turystycznych, najlepiej kieszonkowych oraz o latarkach. Jakie są najbardziej odpowiednie dla wagabundów?

KLAN

Tu Klub Wagabundów!

KIESZONKOWY OGIEŃ, KIESZONKOWE ŚWIATŁO

NAJPIERW O KUCHENKACH. Właściwie niemal wszystkie kuchenki turystyczne znajdujące się obecnie w sprzedaży, mogą być używane przez wagabundów. Z wyjątkiem – oczywiście – tych na butle z gazem. Bo ciężkie i – bez opieki doświadczonych dorosłych – raczej niebezpieczne. Radziłbym początkującym wagabundom ograniczyć się do najmniej i najpraktyczniejszej (dla naszych potrzeb) kuchenki: składanej, w kształcie płaskiego blaszanego pudełka – na stałe paliwo w kostkach, które zresztą można nosić w kuchence po jej złożeniu. Kuchenka ta mieści się w kieszeni, nie przeraża swoją ceną, jest nader prosta w obsłudze.

Cała czynność uruchomienia kuchenki polega na błyskawicznym rozstawieniu jej w kształt litery H, położeniu na „mostku" kilku kostek paliwa, podpaleniu go zapałką i postawieniu menażki lub imbryka. Można używać jej na każdym podłożu, ale najlepiej stawiać na płaskim, równym kamieniu.

Pamiętajcie: po każdym użyciu kuchenki należy ją dokładnie wyczyścić (można nawet suchym piaskiem), ewentualne ślady kipienia starannie oskrobać. Warto uszyć do przenoszenia kuchenki specjalny pokrowiec z resztki starego płótna (ściągany na tasiemkę, jak woreczek). Drugą kolejność pod względem przydatności dla wagabundów przyznaję warnikom na spirytus denaturowy. Warunek: paliwo należy przenosić w blaszanych, a nie w szklanych lub plastikowych butelkach. Ten typ warników nadaje się raczej na dłuższe wyprawy dla większej liczby osób.

TERAZ O LATARKACH. Właściwie powinienem poradzić tak: dla każdego wagabundy najlepsza jest ta stara, wysłużona latarka, która towarzyszyła mu już na niejednej wyprawie o zmroku i w nocy. Tym wszystkim jednak, którzy zamierzają sprawić sobie nową latarkę – podaję ogólne wskazówki:

- latarka dla wagabundy powinna być – moim zdaniem – płaska (na płaską baterię 4,5 V), z nie wystającym reflektorem lub wystającym jak najmniej;
- latarka powinna mieć skórzane uszko do ewentualnego przypięcia jej do guzika bluzy, bądź metalowy zaczep do karabińczyka na pasie;
- na dłuższą wyprawę konieczna jest zapasowa bateria i żaróweczka.

Tyle w wielkim skrócie. Zapowiadam, że wkrótce wyprawa „w ciemność", więc latarka się przyda. Pozdrawiam wszystkich wagabundów tajemniczo!

WAGABUNDA IKS
Szef Klubu Wagabundów

PS. Jeszcze rozwiązanie zagadki-mistyfikacji ze specjalnego numeru „Świata Młodych" dla zastępowych NAL 80 – w „Bliskich spotkaniach czwartego stopnia..." Oczywiście żaden wagabunda nie wbije noża czy innego ostrego narzędzia w żywe drzewo! Pierwsze listy dostałem w tej sprawie od Aliny MICHALAK ze Szczecinka i Wieńczysława ŚLIWIŃSKIEGO z Nasielska. Obojgu przesyłam w nagrodę po miniaturowym warniku turystycznym, jaki opisałem powyżej.

WAG. X.

W Mnikowskim Wąwozie i na Wyspie Wielkanocnej

CIĄG DALSZY ZE STR. 2

TAJEMNICA POSĄGÓW Z WYSPY WIELKANOCNEJ

Na wschodnim krańcu trójkąta Polinezji znajduje się zagubiona na oceanie samotna Wyspa Wielkanocna. Niewielki skrawek lądu wśród bezmiaru wód, z monumentalnymi posągami oraz pochodzącymi stąd niezwykle dziś rzadkimi tabliczkami drewnianymi pokrytymi pismem rongo rongo, zajmuje uprzywilejowane miejsce w rozważaniach wszelkich miłośników tajemnic, niezgłębionych zagadek i „historii romantycznej", poszukiwanych w przeszłości człowieka. Pochodzenie ludności i megalitycznej kultury wyspy wiązali oni z doliną Indusu, zaginionym kontynentem Mu i przybyszami z Wszechświata. Do tej ostatniej grupy należy E. von Däniken ze swoją „teorią". *„Wyspa Wielkanocna* – jak pisze – *stanowi kamień węgielny w mozaice mego światopoglądu".* Autora „Wspomnień z przyszłości" nie przekonują wcale wyniki badań archeologicznych i etnograficznych T. Heyerdahla: *„Owych olbrzymich brył lawy nie dałoby się w żadnym przypadku odłupać przy pomocy toporków. Prawdą jest, że Heyerdahl znalazł u stóp krateru kilkaset małych prymitywnych narzędzi. To mogło rzeczywiście przemawiać za tym, że pracowano właśnie nimi. Moja hipoteza jest jednak następująca: technicznie doskonałe narzędzia mieszkańcy wyspy otrzymali od obcych kosmonautów. Tymi przedmiotami mogli się posługiwać kapłani lub czarownicy, którzy odrywali wykruszone bryły lawy i obrabiali je."* („Oto mój świat" s. 117)

Tymczasem przeprowadzony przez T. Heyerdahla eksperyment z udziałem sześciu potomków twórców rzeźb wykazał, że wykuwanie posągów z Wyspy Wielkanocnej, choć trudne i żmudne, było w pełni możliwe dla ludzi uzbrojonych w narzędzia kamienne, o czym są całkowicie przekonani zarówno krajowcy – realizatorzy eksperymentu, jak i naukowcy. Pisze o tym badacz w cytowanej przez E.von Dänikena książce „Aku-aku". Oddajmy głos T. Heyerdahlowi: ***„Usiedliśmy spokojnie na trawie i zaczęliśmy obliczać, każda strona swoim sposobem. Wójt wyrachował, że gdyby pracować na dwie zmiany przez cały dzień, wykonanie figury średniej wielkości zajęłoby dwanaście miesięcy. Stary chudeusz obliczał na własną rękę i doszedł do piętnastu miesięcy. Bill dokonał analizy skały i doszedł na jej podstawie do tego samego wyniku, co wójt. Praca przy figurze zajmie rok, a potem pozostanie sprawa transportu".***

E.von Däniken eksperyment pomija milczeniem. Pisze natomiast: – ***„Nikt zresztą nie potrafi powiedzieć, kogo przedstawiają owe posągi. Tego niestety nie wie także Thor Heyerdahl"*** („Oto mój świat", s. 119). Czytelnik wydanej w Polsce książki „Aku-aku" może się łatwo przekonać, że zarówno krajowcy, jak i sam badacz są innego zdania: ***„Figury rzeźbiono jako pomniki wodzów długouchych"*** (T. Heyerdahl 1961, s. 153). Szerzej T. Heyerdahl pisze o tym w innej swojej publikacji.

W ten sposób można by kontynuować ów przedziwny dialog podróżnika-badacza z podróżnikiem-fantastą. Wracając do doświadczeń T. Heyerdahla trzeba dodać, iż wartość ich podnosi fakt, że wszelkie próby wykonywali krajowcy posługując się metodami przekazanymi im przez tradycję oraz własnym rozsądkiem, natomiast bez rozwiązań inspirowanych przez naukowców. Budząca tyle wątpliwości E.von Dänikena kwestia transportu i stawiania wielkich głazów nie stanowi problemu dla mieszkańców wyspy: ***„Potężna figura ślizgała się po równinie tak szybko, że Lazarus, asystent wójta, wskoczył na jej głowę i wymachując ramionami sprawiał wrażenie gladiatora na wojennym rydwanie. Długie szeregi wyspiarzy cierpliwie ciągnęły za linę, drąc się na całe gardło z zachwytu. Całość posuwała się tak szybko jak po maśle.***

Przerwaliśmy jazdę po przebyciu sporego kawałka po równinie. Zostało udowodnione, że stu osiemdziesięciu wyspiarzy z pełnymi żołądkami potrafi przeciągnąć dwunastotonową figurę. Mając więcej ludzi i drewniane sanie do dyspozycji, można dać sobie radę ze znacznie większą". (T. Heyerdahl, s. 176)

Rzeczywistość okazuje się zwykle bardziej prozaiczna niż nasze marzenia i fantazje, pożądanie rzeczy dziwnych i tajemniczych. Tak jest również w przypadku przeszłości Wyspy Wielkanocnej. Wyniki badań archeologicznych, antropologicznych, etnograficznych i językoznawczych składają się na obraz jej historii całkowicie odmienny od podniecających „teorii", chociaż nie mniej ciekawy.

Na podstawie dotychczasowych badań można przyjąć, iż Wyspa została zasiedlona między 300 r. n.e. a 500 r. n.e. Jedni badacze sądzą, że pierwszymi osadnikami byli przybysze ze wschodniej Polinezji – z Archipelagu Markizów i Wysp Towarzystwa, inni, a wśród nich przede wszystkim T. Heyerdahl, uważają że ludność polinezyjska zjawiła się znacznie później, gdzieś w ciągu środkowego okresu rozwoju kultury wyspy, a pierwsze dwie fale osadnicze przybyły z Ameryki Południowej. Obecność elementów amerykańskich i polinezyjskich w dawnej kulturze Wyspy Wielkanocnej jest oczywista. Wyniki kilkumiesięcznych badań Norweskiej Ekspedycji Archeologicznej, prowadzone w okresie od 25 października 1955 r. do 6 kwietnia 1956 r. wydane przed kilkunastu laty w Londynie i Sztokholmie w dwóch obszernych, starannie przygotowanych tomach, pozwoliły poznać przeszłość wyspy w stopniu wykluczającym fantazje E.von Dänikena na temat monumentalnych posągów megalitycznych. Tak jak i w innych przypadkach – autor „Wspomnień z przyszłości" do naukowej publikacji, rezultatów głośnych na świecie badań nie uważał za potrzebne sięgnąć, mimo deklaracji, że Wyspa Wielkanocna jest kamieniem węgielnym w jego rozważaniach.

JACEK LECH

ROZCZA-ROWANIE

LATO Z WIERSZEM

JELENIA GÓRA '80

Jego dotychczasowe życie
było jednym, wielkim balem
przebierańców.
Bawił się świetnie z dziewczyną,
która za maską uczuć
ukryła perfidię i drwinę.
Tańczyli w rytm
nieustannego kłamstwa,
a zewsząd
dolatywały fałszywe nuty.
Nie wiedział o tym.
Był szczęśliwy mogąc być z nią.
Nagle stało się:
Prysnął czar,
dziewczyna zerwała maskę.
Odeszła,
porzuciła go dla chłopaka,
którego on
nazywał kiedyś swoim przyjacielem.
Tamtych dwoje jest razem,
a on
próbuje znaleźć konstrukcję,
na której będzie mógł oprzeć
swoje uczucia.

Edyta z Jeleniej Góry

W blasku olimpijskiego znicza

XVI – Melbourne

22 XI–8 XII 1956 oraz 10–17 VII 1956 (Sztokholm, konkurencje jeździeckie). 3343 zawodników z 73 krajów. Polacy zdobyli 9 medali, w tym 1 złoty.

Planowane w Melbourne igrzyska rozpoczęły się nieco wcześniej w... Sztokholmie. Stało się tak dlatego, że rząd australijski nie chciał zmienić własnych przepisów nakazujących sześciomiesięczną kwarantannę dla koni przybywających na ten kontynent z innych krajów. Siłą rzeczy konkurencje hippiczne odbyły się w Skandynawii i trzeba przyznać, że cieszyły się dużym zainteresowaniem Szwedów.

Bohaterów australijskich zawodów było wielu. Oto Włodzimierz Kuc (ZSRR) zwyciężył w biegach na 10 i 5 km; oto Bob Morrow (USA), zwany „Błyskawicą z Texasu", królował na wszystkich dystansach sprinterskich; oto węgierski pięściarz Laszlo Papp zdobył swój trzeci z kolei złoty medal, rewanżując się jednocześnie Zbigniewowi Pietrzykowskiemu (medal brązowy) za porażkę w Warszawie.

Na antypody wysłaliśmy ekipę składającą się z 65 zawodników. Uciążliwa podróż, zmiany klimatycznych stref i krótki okres aklimatyzacji nie wpłynęły korzystnie na ich formę. Naszą drużynę nękały też liczne kontuzje i dolegliwości (Chromik, Zimny, Krzyszkowiak), ale w sumie wypadliśmy zupełnie przyzwoicie. Największy sukces odniosła lekkoatletka, Elżbieta Krzesińska, która wywalczyła w skoku w dal pierwsze miejsce. „Złota Ela" uzyskała 6,35 m – rekord świata i olimpiady. Oszczepnik Janusz Sidło wywiózł z Melbourne srebrny medal. Jego pojedynek z Norwegiem Danielsenem, o którym przed igrzyskami mało kto słyszał, był rzeczywiście imponujący. Polak rzucił prawie 80 m, rywal – 85,71. Dodajmy, że Norweg już nigdy nie powtórzył podobnego rezultatu. Nasi szabliści także pokazali lwi pazur: zdobyli dwa srebrne medale. Identycznie spisał się strzelec do rzutków, Adam Smelczyński. Drugą lokatą na antypodach rozpoczął swój piękny, późniejszy marsz po strzelnicach świata. Po raz pierwszy w historii igrzysk dają znać o sobie polscy ciężarowcy, a zwłaszcza Marian Zieliński (medal brązowy). Warto zaznaczyć, że sukcesy biało-czerwonych były gorąco oklaskiwane przez australijską Polonię, która gościnnie podejmowała swoich rodaków. Na sportową atmosferę olimpiady padły jednak cienie, spowodowane politycznymi wydarzeniami na Bliskim Wschodzie. Z igrzysk wycofały się następujące kraje: Szwajcaria, Chińska Republika Ludowa, Liban, Egipt, Hiszpania, Holandia i Iran.

Kupon 16

No więc, od poniedziałku jestem autentyczna klasa robotnicza. Pracuję. Fizycznie. Jak na razie, leci nieźle chociaż uczucie mam jakieś takie... dziwne. Dziwnie mi z tym jest. Michał mówi, że jemu też. No myślę. Nasza aktualna pracodawczyni przemawia do niego per „panie Michale" i siły nie ma, żeby jej tego „pana" wyperswadować. Do mnie z kolei mówi po imieniu, ale w trzeciej osobie – niech Ania zrobi, wyniesie, przyniesie, wytrze itd. Z trudem się opanowuję, aby też w trzeciej osobie nie odpowiadać, tzn., żeby zamiast np. „dobrze, zaraz to zrobię" nie odpowiedzieć – „dobrze, Ania zaraz to zrobi". Po prostu zaczynam myśleć o sobie w trzeciej osobie, nie ja, ale – ona, ta jakaś Ania. Z którą piekielnie trudno jest mi się utożsamić.

Pierwsza praca, ta u taty znajomej, była bardzo fajna. Stawiliśmy się bladym świtem, pani wyłuszczyła nam, co jest do zrobienia (umycie wszystkich okien w dużym mieszkaniu oraz wyczyszczenie, wypastowanie i wyfroterowanie podłóg), pokazała, gdzie stoją narzędzia pracy i różne konieczne w tym celu chemikalia i... poszła do pracy. Jak skończyliśmy (na drugi dzień), obejrzała nasze dzieło, pochwaliła nas za staranność (jaka szkoda, że Mama tego nie słyszała!), zapłaciła i... poleciła swojej z kolei znajomej jako wspaniałych robotników-czyścicieli. No i u tej drugiej to dopiero zaczęło się nieszczęście. Po pierwsze, pani ta cały czas jest w domu i nas dogląda. Z tym by jeszcze człowiek i wytrzymał, ale najgorsze, że jest to osoba całkiem niezdecydowana, co właściwie mamy robić. Rzecz nazywa się „gruntowne generalne porządki", a w praktyce wygląda to tak, że jak Michał rozkręcił okno w dużym pokoju, to pani doszła do wniosku, że lepiej by było wynieść teraz dywany do trzepania. Okno było rozkręcone dwa dni, bo jak skończył z dywanami, to malował skrzynki na balkonie, a potem jeździł do ogrodnika po flance. Jeśli o mnie chodzi, w trakcie mycia serwisu stołowego – wszystko z kredensu się wywala, szoruje w środku i naczynia też – byłam wysyłana do sklepu, na pocztę i po dziecko do przedszkola. A serwis się tymczasem moczył.

W gruncie rzeczy powinien nam być ten styl pracy obojętny, bo o ile poprzednia pani płaciła za wykonanie konkretnych rzeczy (naszą sprawą było, ile to nam czasu zajmie), to ta umówiła się na dniówkę. Najwyżej więc dniówek będzie więcej, nie moje w końcu zmartwienie, ale... coś mną w tym bałaganie ciska. Pewnie przesadzam, lecz na pewno w charakterze pomocy domowej na dłużej bym się tu nie nadała. Całe szczęście, że do obozu już niedaleko.

ANKA

Listy i liściki do Świata Muzyki

ZALEGŁOŚCI...

Wstyd się przyznać, ale bodaj od stycznia tego roku nie odpowiedziałem **publicznie** na niektóre listy czytelników, odkładając je na porę odpowiedniejszą. Wakacje to chyba pora najodpowiedniejsza, dlatego dzisiejsze wydanie Świata Muzyki będzie miało „korespondencyjny" charakter. Jak zapewne zdążyliście zauważyć „publicznie" odpowiadam na te listy, których autorzy pytają o sprawy interesujące wielu młodych melomanów. Odpowiadając więc na pytanie – na przykład Janka Kowalskiego, odpowiadam na podobne jego rówieśników. Zatem po kolei...

Krzysztof Kitliński z Nowego Sącza interesuje się zespołem Rolling Stones, zbiera zdjęcia, kolekcjonuje płyty, uzupełnia biografię. Prosi o przypomnienie największych przebojów tej grupy z lat 1962–1976. Pierwsze nagrania to: „Come On" i „Wanna Be Your Man", dalej „Not Fade Away" i „Its All Over Now" oraz „Little Red Rooster", „The Last Time", „Satisfaction", „Get Off Of My Cloud", „19th Nervous Brakdown", „Patint It Black", „We Love You", „Jumping Jack Flash", „Honky Tonk Woman", „Brown Sugar", „Street Fighting Man", „Angie", „Its Only Rock And Roll", „Fool To Cry".

Po recenzji podręcznika Janusza Popławskiego otrzymałem wiele listów od gitarzystów basowych, które na razie zbieram. Dziś natomiast spełniam prośbę Jacka Nwratila z Zamościa, początkującego gitarzysty, zafascynowanego – wcale mu się nie dziwię – Andresem Segovią. Jacek zna kilka utworów tego wirtuoza, nie zna jego życiorysu. Więc... Segovia Torres Andres urodził się 17 lutego 1893 roku w hiszpańskiej miejscowości Linares. Na gitarze nauczył się grać właściwie sam! Zadebiutował na estradzie w wieku lat 14! wzbudzając zachwyt, znających się na sztuce gitarowej Hiszpanów. Występował coraz częściej, nie tylko w rodzinnym kraju, ale także poza jego granicami – m.in. odbył tournée koncertowe po Ameryce Południowej, gdzie też znawców gry na tym instrumencie nie brakuje. Wszędzie przyjmowano go entuzjastycznie, zarówno publiczność jak i krytycy muzyczni. Zresztą nie tylko oni. Młodym, piekielnie utalentowanym gitarzystą zainteresowali się kompozytorzy. Pisali dla Segovii: de Falla, Villa-Lobos, Tansman, że wymienię tylko tych największych. Doszło do tego, że firma wydawnicza Schott pomyślała o specjalnej „Edycji Andresa Segovii" z jego opracowaniami muzyki dawnej i współczesnej. Segovię uważa się, nie bez racji, za kontynuatora metody Francisko Tarregi, także Hiszpana, jednego z największych mistrzów w historii gitarystyki, metody faworyzującej silny i wielki ton. Segovia zyskał rozgłos nie tylko jako wykonawca, ale także pedagog.

Ania Kobyłecka z Warszawy pokłóciła się ze swoją najbliższą koleżanką o ...tytuł pierwszego przeboju Paula Anki. Ona twierdzi – pisze Ania, że to była „Diana", ja że „Love Me Warm and Tender". Niestety – rację ma koleżanka! Jednak „Diana" – a było tak... Paul Anka śpiewał w kwartecie Bobby Soxersa. Śpiewał może nieźle, ale... uczył się w szkole coraz gorzej. Więc ojciec powiedział tak: jedź synu do Nowego Jorku, nagraj jakąś płytę i... czekaj. Syn wykonał polecenie ojca, opuścił rodzinną Ottawę i udał się do USA, gdzie najpierw poznał Irvina Felda, menażera Fatsa Domino, potem, korzystając z jego pomocy, podpisał kontrakt na nagranie czterech własnych piosenek dla wytwórni ABC Paramount. Aha – kontrakt podpisał tata, bo Paul miał zaledwie 16 lat. Wśród tych czterech piosenek była „Diana", jak się niebawem okazało wielki i **pierwszy** przebój Paula Anki. Jego wykonawca otrzymał „Złotą Płytę": tytuł „Obywatela Roku". Żeby autorce listu – Ani Kobyłeckiej – nie było przykro, spieszę donieść, że „Love Me Warm and Tender" to był następny przebój jej ulubieńca. Przy okazji przypomnę tytuły innych: „You Are My Destiny", „Puppy Love", „Put Your Head on My Shoulder", „Crazy Love", „Lonely Boy", „I Love You, Baby"... Anka występował w Polsce w roku 1963.

Piszą do mnie nie tylko zwolennicy muzyki rozrywkowej, ale także i poważnej, która w Świecie Muzyki zawsze jest obecna. Janusz Drewniak z Bydgoszczy oglądał jeden z ostatnich programów telewizyjnych z Leonardem Bernsteinem w roli głównej. Chciałby coś wiedzieć o tym muzyku. No – postać to wielka i wspaniała. Kompozytor, pianista, dyrygent... Kiedyś podobno radzono mu wybierać, na co miał powiedzieć: „Nie mam zamiaru zasklepiać się w jednej specjalności. Nie myślę spędzać reszty mego życia jak Toscanini – na wiecznym studiowaniu tych samych pięćdziesięciu utworów. Zanudziłbym się na śmierć. Chcę dyrygować, chcę grać na fortepianie. Chcę pisać muzykę dla Broadwayu i Hollywood. Chcę pisać także muzykę poważną. Pragnę być kimś, kogo można by nazwać – w pełnym sensie tego określenia – cudownym słowem: muzyk!" „Jako dyrygentowi ułatwił Bernsteinowi debiut Sergiusz Kusewicki, jego mistrz i nauczyciel. Kusewicki i... szczęśliwy – dla Bernsteina – zbieg okoliczności. Przed występem zachorował Bruno Walter. Jego miejsce za pulpitem dyrygenckim, przed Orkiestrą Nowojorską zajął właśnie Bernstein. Od razu podobał się melomanom i krytykom. Autor opery, paru symfonii, utworów fortepianowych, komedii muzycznych i baletów – „On the Town, Wonderful Town", „West Side Story", znanego i u nas cyklu audycji telewizyjnych, genialny dyrygent, szalejący na estradzie – podskakujący, przysiadający, przytupujący itd. itd. Podobno jeden z krytyków nowojorskich nazwał go „Presleyem na podium"...

MUCHOMORKI

Laureatki Harcerskiego Festiwalu w Siedlcach odpoczywały w... Warszawie, odwiedzały i zapraszały do siebie znajomych z siedleckiej imprezy, nagrywały dla radia i telewizji. Byłem i ja gościem sympatycznych, roześmianych „Muchomorków", które są takie same na estradzie, jak na co dzień. Mają w swoim repertuarze wiele piosenek – niektóre znajdziecie niebawem w Świecie Muzyki, znają mnóstwo zabaw. Umówieni jesteśmy na następne spotkania i... na kolejny festiwal w Siedlcach. Kto „Muchomorków" nie zna, ten przede wszystkim powinien je poznać. Powiedziały mi, że: bawią się i śpiewają od września 1979 roku pod okiem pani Marii Brzozowskiej, działają w drużynie zuchowej przy szczepie harcerskim Szkoły Podstawowej w Komprachcicach (blisko Opola), biorą udział w przeglądach zespołów artystycznych młodzieży szkolnej, z których przywożą najczęściej pierwsze nagrody, najchętniej wykonują piosenki dziecięce wzbogacone inscenizacją i układami tanecznymi. Jeśli nie możecie przyjechać do Komprachcić, wpadnijcie na Harcerski Festiwal Kultury Młodzieży Szkolnej do Kielc, gdzie „Muchomorki" zaplanowały kolejną zbiórkę...

„MARZENIE ZA MARZENIEM"

Słowa: **Krzysztof Drzewiecki**
Muzyka: **Krystyna Kwiatkowska**

Minuta za minutą
w pokoju trochę smutno
na zegar dnia spoglądasz raz po raz
choć czasu nie dogonisz
masz szczęście jak na dłoni
na pewno ci wystarczy dobrych dat

Godzina za godziną
już dzień pechowy minął
a wieczór jest jak książka którą znasz
za oknem tylko księżyc
ktoś przegrał ktoś zwyciężył
egzamin z życia czasem trudno zdać

Nie wszystko łatwe jest jak pierwszy lepszy wiersz
nie zawsze znajdziesz od razu to co chcesz
nie wszędzie możesz mieć naprawdę własny dom
nie tylko tobie bije dzwon
lecz pod swym niebem w końcu trafisz na swój film
i główną rolę zagrasz w nim

Marzenie za marzeniem
gdzie słońce tam i cienie
lecz świat ma przecież więcej ciepłych barw
codzienną drogą życia
idź naprzód i nie pytaj
czy uda ci się zmienić bieg swych spraw
Nie wszystko łatwe jest jak pierwszy lepszy wiersz...

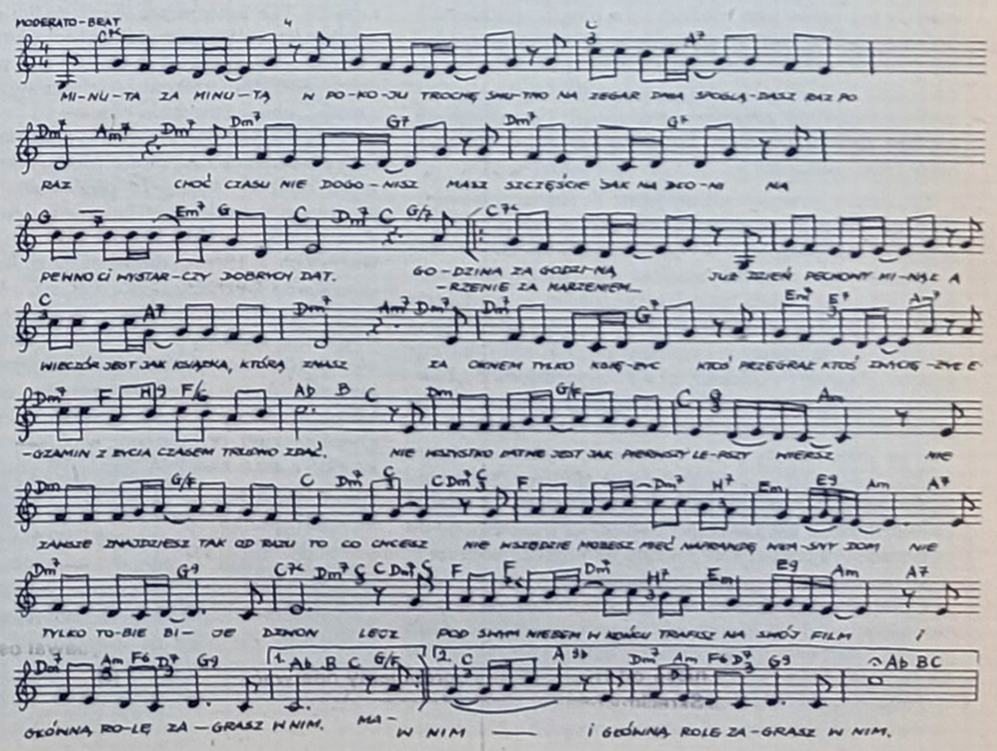

MOUNT EVEREST ZNÓW BEZ SZANS

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

9 maja stanąłem przed wielką szansą ataku szczytowego. Wraz z Wojtkiem Wróżem i dwoma Szerpami dotarliśmy do obozu czwartego, a potem już sami, jeszcze wyżej, na 8.300 metrów. Tam pozostawiliśmy dwie butle tlenowe, niezbędne w decydującej fazie akcji. Wróciliśmy do obozu czwartego z zamiarem podjęcia dnia następnego ataku szczytowego. Niestety, Andrzej Zawada odwołał akcję. Uznał, że należy zbudować jeszcze obóz piąty. Szkoda, byłem już tak blisko wymarzonego wierzchołka. Wiem jednak, że w tego typu wyprawach osobiste marzenia i aspiracje schodzą na plan dalszy.

Akcja trwała. Trójka – Rusiecki, Gajewski, Kukuczka – wniosła do żlebu na wysokość 8.300 metrów dodatkowe butle, namiot szturmowy i zbudowała platformę, na której potem stanął obóz piąty.

17 długich godzin

Zbliżał się czas najważniejszej próby. Do akcji szczytowej wytypowano Kukuczkę i Czoka. Świetni to wspinacze, którzy wsławili się wcześniej atakiem na Lhotse (8.501 m) bez tlenu. Sądzili, że i tym razem uda im się ta sztuka.

28 maja Andrzej i Jurek wystartowali z obozu czwartego o 2 nad ranem z zamiarem wejścia na szczyt. Po dojściu na 8.300 stwierdzili jednak, że nie dadzą rady. Postawili tam namiot i zdecydowali się na nocleg. Następnego dnia o świcie – była chyba czwarta rano – ruszyli ponownie w górę. Około 9 godzin trwała wspinaczka na szczyt. Za Wierzchołkiem Południowym Everestu (ok. 8.500 m) skończył im się tlen. Nie zrezygnowali. Szli dalej i dopięli swego o godz. 10.21 czasu środkowoeuropejskiego stanęli na szczycie świata. W Nepalu było późne popołudnie.

Spędzili tam godzinę robiąc zdjęcia i zbierając dowody swej obecności na wierzchołku. Pozostawili biało-czerwoną flagę, zabrali ze sobą narodową flagę Basków, którą hiszpańscy wspinacze zatknęli tam kilka dni wcześniej.

Osłabieni brakiem tlenu schodzili w dół. To było chyba jeszcze trudniejsze. Tak jak zimą. Gdy znaleźli się w obozie, spojrzeli na zegarek. Mijało 17 godzin od rozpoczęcia akcji szczytowej.

Mount Everest został zdobyty. Andrzej Zawada ogłosił zwycięski odwrót. Niejeden z nas pragnął pójść śladem zdobywców, ale kierownik miał rację. Zadanie wykonano. Dalsze ryzyko nie było potrzebne. Tym bardziej, że pogoda nie sprzyjała, a każdy dzień pobytu, tam wysoko, groził śmiercionośną lawiną.

Wracaliśmy do bazy...

TOMASZ TRZCIŃSKI

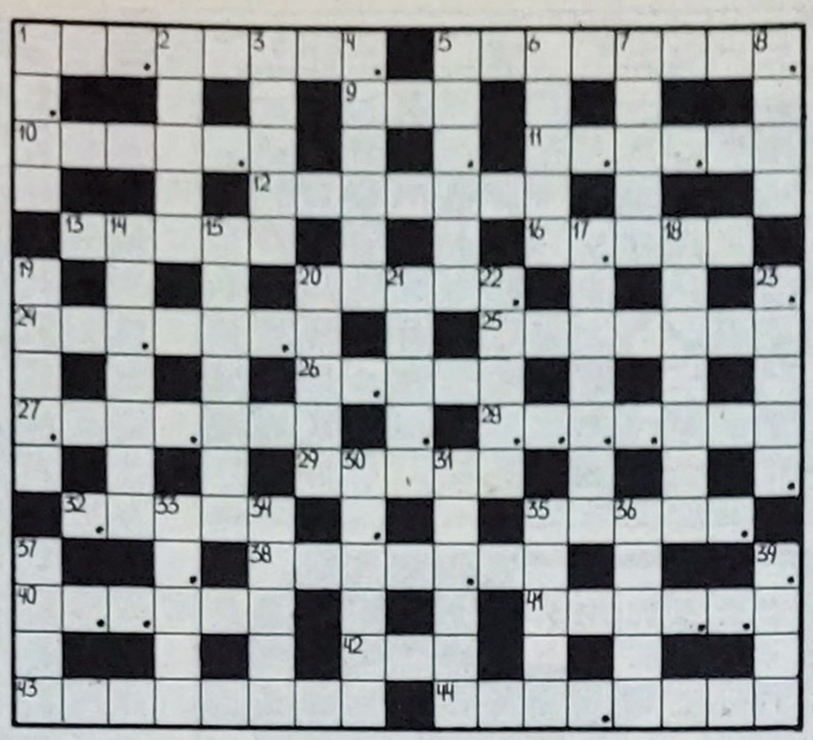

Zadanie premiowane nr 292

KRZYŻÓWKA Z HASŁEM

Po rozwiązaniu krzyżówki litery z kratek oznaczonych kropką, czytane rzędami poziomymi, utworzą rozwiązanie – myśl Nicolasa de Chamforta. Rozwiązanie napisz na kartce pocztowej i prześlij w ciągu 7 dni od daty tego numeru pod adresem: „Świat Młodych", Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, „Zadanie premiowane nr 292".

Prawidłowe rozwiązania wezmą udział w losowaniu nagród.

ZNACZENIE WYRAZÓW

POZIOMO: 1) wymaganie, żądanie, 5) chorągiew, 9) od stycznia do grudnia, 10) dorosły jeleń samiec, 11) grupa wysp tworząca granicę między M. Karaibskim a Atlantykiem (Wielkie i Małe), 12) środek komunikacji miejskiej, 13) połysk, 16) jeden z bohaterów „Iliady", 20) rodzaj wideł z gęstymi zębami zakończonymi kulkami (przestaw litery w wyrazie gleba), 24) kieszonkowa – przydaje się w nocy, 25) upominek, 26) imię Polo, sławnego podróżnika średniowiecznego, 27) żołnierz policji wojskowej, 28) ma swój dzień 1 czerwca, 29) choroba zwana także dychawicą, 32) ptak łowny, 35) polecenie, 38) gąszcz krzewów, chaszcze, 40) opieka nad kimś, 41) słota, 42) gatunek wierzby, 43) odrodzenie, 44) kręci się w wesołym miasteczku.

PIONOWO: 1) dwoje ludzi, 2) rośnie na łące, 3) słodycz na patyku, 4) pnie drzew powiązane linami i spławiane rzeką, 5) zgięty pręt żelazny tworzący uszko, wbijany w drzwi dla założenia wrzeciądza i zawieszenia kłódki, 6) W–Z lub Łazienkowska, 7) tańcowała z igłą, 8) ma swój klub w „Świecie Młodych", 14) unoszenie się w przestworzach, 15) pocisk do łuku, 17) imię królowej Polski, żony Władysława Jagiełły, 18) leczenie, 19) piaszczysta nad morzem (ale nie wydma), 20) trzecia litera alfabetu greckiego, 21) siarczan baru, minerał barwy białej, 22) rodzaj utworu w antycznej poezji greckiej, 23) boczna część czoła, 30) komplet naczyń stołowych, 31) grzyb jadalny, 33) zajęcie kowala lub ucznia, 34) „grający mebel", 35) gwałtowny, silny nacisk, 36) wkładany do zamka, 37) sprzeczka, 39) duch, zjawa.

ROZWIĄZANIE ZADANIA PREMIOWANEGO NR 288 Z 68 NUMERU „ŚWIATA MŁODYCH" Z DNIA 7.06.1980 r.

Prawidłowe rozwiązanie: Co dziś opuścisz, jutro nie dogonisz. Nagrody wylosowali: Mirosław Bożek – Sosnowiec, Sławomir Chabior – Skarżysko-Kamienna, Romualda Gacek – Obrzycko, Angelika Gawrylecka – Szczecin, Kazimiera Kłos – Tczew, Beata Pilot – Orzesze-Zawada, Roman Przybycień – Gorlice, Piotr Rajca – Staszów, Robert Śmiałowski – Poznań, Beata Żak – Lublin.

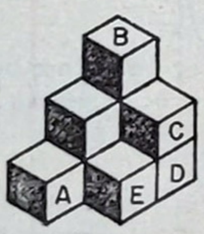

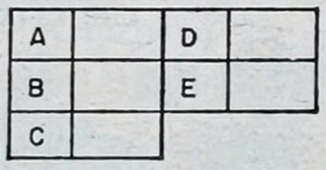

PATRZ I DEDUKUJ!

Przypatrz się uważnie tej figurze i wydedukuj, iloma bokami stykają się sześciany oznaczone literami ze swoimi sąsiadami. Wyniki swoich dociekań wpisz do tabelki, a jeśli nie jesteś zupełnie pewny, sprawdź swoje rozwiązanie z prawidłowymi odpowiedziami, które zamieszczę za tydzień.

Każdy znajdzie tu coś dla siebie. Dziś zapraszam do rozwiązania łamigłówki – zabawy obrazkowej. Kto jest spostrzegawczy i umie kojarzyć – upora się z nią w mig. Inne zadania też są łatwe – wakacyjne. Ale będą także nieco trudniejsze – obiecuję. Do zobaczenia!

BEN AKIBA, gospodarz Abrakadabry

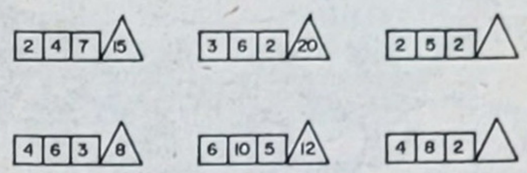

WAKACYJNA MATEMATYKA

Liczenia – to w tym zadaniu jest na tyle, że upora się z nim przedszkolak. Najważniejsze – to wpaść na właściwy trop. Chodzi o to, by wpisać właściwą liczbę w trójkąt w ostatnich figurach w obu rzędach. Oba rzędy rządzą się odrębnymi prawami, a więc i liczby w trójkątach będą różne.

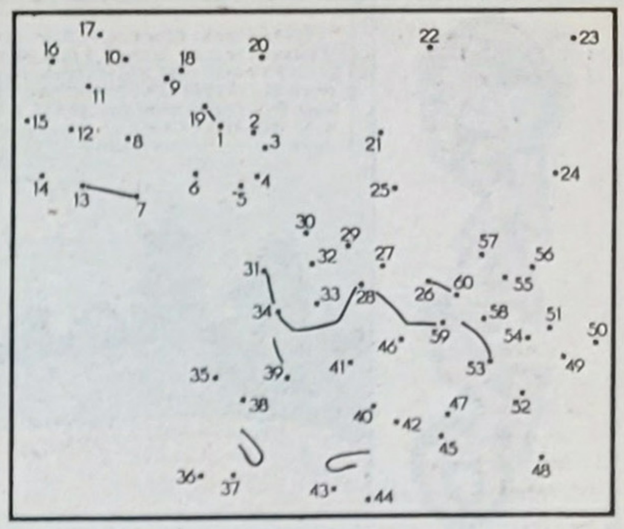

60 PUNKTÓW

Jeśli chcesz zobaczyć scenę z lotu kosmicznego, połącz starannie i uważnie linią kolejne punkty od 1 do 60. To zadanie rozwiązuj dopiero wtedy, gdy uporasz się z pozostałymi zadaniami dzisiejszego wydania Abrakadabry.

ŁAŃCUCH

Te obrazki należy ułożyć w innej – logicznej kolejności. Logika polega na tym, by na obrazku A wyszukać taki przedmiot, który powtórzy się jeszcze na innym obrazku. Na tym nowym obrazku trzeba znaleźć jakiś inny przedmiot, który znów powtórzy się na którymś z pozostałych obrazków itd. aż zamknie się cały „łańcuch" obrazkowy.

ODPOWIEDZI Z POPRZEDNIEJ SOBOTY:

ZADANIE-BŁYSKAWICA:

$5=5+5-5=5\times\frac{5}{5}$. KTÓRY FRAGMENT PASUJE: fragment nr 6. POMYŚL I UZUPEŁNIJ: „Strony otwartej książki" są kreskowane trojako – pionowo, poziomo i ukośnie. W każdej pionowej kolumnie i w każdym poziomym rzędzie jest po jednym reprezentancie każdego typu strony, zarówno lewej, jak i prawej. W puste miejsce trzeba więc wstawić „książkę" z lewą stroną kreskowaną pionowo, a prawą – poziomo, czyli nr 5. ZAGADKA ZEGAROWA: Oto „pary": 1–D, 2–A, 3–B, 4–E, 5–C. A więc jest godz. 8.50. Dwie pary zegarów, na których różnica wynosi pół godziny (o czym mówi pani 5), to A–C i B–E. Jeśli założymy, że E wskazuje dokładny czas, a B później się pół godziny, to nie mamy zegara, który wskazywałby 9.10, czyli spieszyłby się 10 minut (o czym mówi pan 1). A więc wariant B–E odpada. Rozpatrzmy wariant A–C: zakładamy, że A wskazuje dokładny czas (o czym mówi pani 2), a C później się pół godziny (pani 5). Zegar B, późniący się 10 min. należy więc do pana 3; zegar D spieszący się 10 min. należy do pana 1; stąd do pana 4 należy zegar E (nie chodzi!). Gdyby było inaczej, właściciel zegara E musiałby twierdzić, że jego zegar spieszy się 20 minut, a takiego stwierdzenia brak w zadaniu.

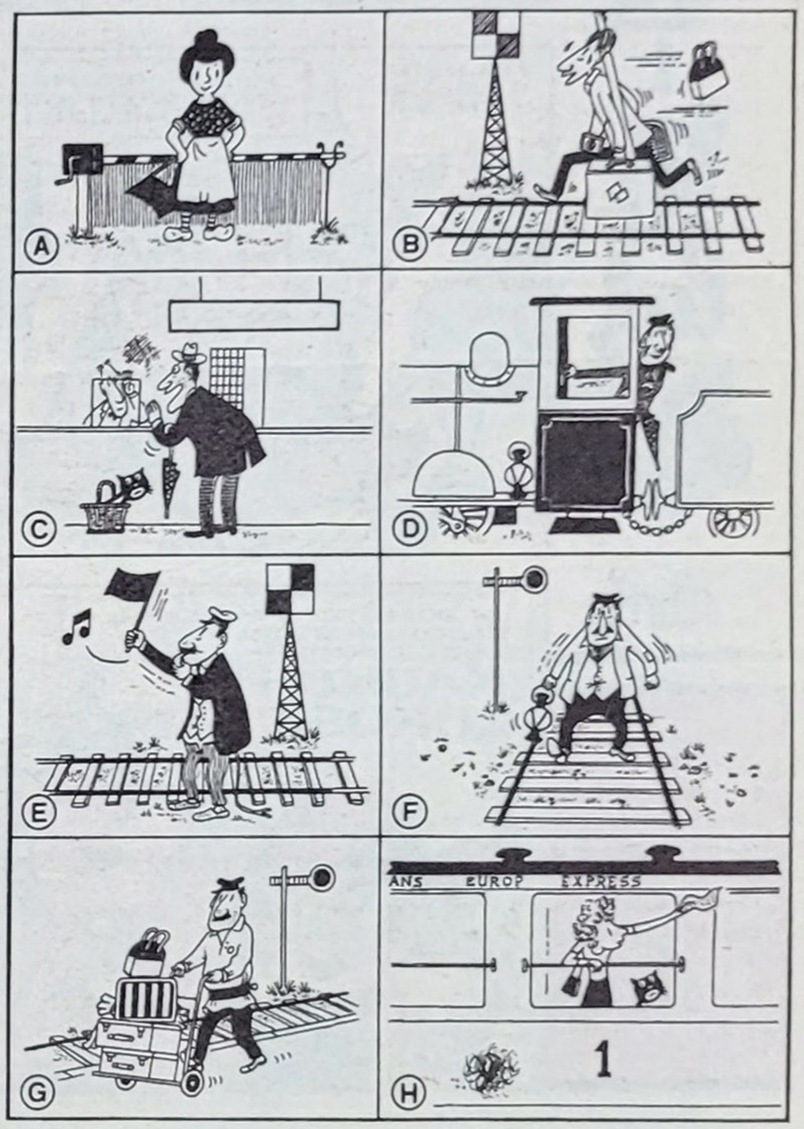

Całe szczęście, że mieliśmy wodza o żywej wyobraźni i dużej zdolności przewidywania.

Gdy główne siły Howarda zbliżyły się na kilka mil do naszej warowni, opuściliśmy ją w nocy z całym obozem tak cicho, że liczne węszące po okolicy patrole amerykańskie nic nie zauważyły.

Howard ponoć zatarł ręce, dowiedziawszy się o naszej ucieczce, ale potem srodze się zasępił, gdy patrole z kolei mu doniosły, że nie uciekliśmy na południe, jak tego chciał. Przeto jeśli nie na południe, to dokąd, na miłość Boską, dokąd się wymknął ten podstępny lis Wódz Józef?

SZARPANIA W IDAHO

A zatem dokąd się wymknęliśmy generałowi Howardowi? Forsownym marszem podążaliśmy na północny zachód, wśród czarnych, spiętrzonych gór, krainą dziką i posępną, przez całą noc, cały dzień i jeszcze jedną noc, aż dobrnęliśmy do Przystani Czółen nad rzeką Snake. Przystań Czółen od niepamiętnych czasów służyła nam, Nez Percé, za miejsce przepraw przez Snake w drodze do Wallowy. Tam, strudzeni, stanęliśmy na krótki popas. Przed wyruszeniem w dalszą drogę Wódz Józef wezwał Białego Ptaka i Olikuta i rzekł:

– Oderwaliśmy się nieco od Howarda, ale spróbujemy oderwać się od niego jeszcze bardziej. Skręcimy teraz ku wschodzącemu słońcu i wydostaniemy się na step. Niewykluczone, że wkrótce pojadą tamtędy tabory z amunicją i prowiantami dla Jednorękiego; ma on przecież wiele gąb do wyżywienia. Ufam, że „zadbacie" o te transporty – uśmiechnął się Wódz Józef.

Jeszcze kilkanaście mil przedzieraliśmy się przez skalne wertepy, zanim wreszcie błysnęła przed nami rzeka Salmon, przez którą przeprawialiśmy się upatrzonym brodem. Choć i po tej stronie rzeki nie brakło skalnych urwisk, wkrótce jednak odczuliśmy zmianę w otoczeniu. Teren jął wyrównywać się, a łagodne podmuchy wiatru przynosiły woń nagrzanych słońcem traw. Przed nami rozpostarł się step. Odetchnęliśmy szeroką piersią a była to kraina piękna, pełna życia i otuchy. Szczodra natura nie poskąpiła jej swych darów: zające, lisów, wszelkiego ptactwa i innego zwierza kręciło się tu bez liku. A w miejscach podszytych wilgocią rosła obficie nasza ulubiona kama.

Tu na rozkaz Białego Ptaka i Olikuta najsprytniejsi zwiadowcy pomknęli do przodu i jak cienie rozproszyli się na wszystkie strony. Szczęście nam dopisywało: jeszcze i pół dnia nie minęło, gdy jeden z doświadczonych zwiadowców, Dwa Księżyce, wrócił z osobliwymi wieściami. Otóż niedaleko od naszego obozu, ku północnemu wschodowi, natknął się na samotnego białego jeźdźca, który, ujrzawszy go, porwał się do ucieczki. Jednak celny strzał zwalił go z konia. Gdy Dwa Księżyce zbliżył się do leżącego, ten wydawał ostatnie tchnienie, kurczowo ściskając niewielką torbę. Ciekawy jej zawartości, Dwa Księżyce, który potrafił trochę czytać po angielsku, wyszperał w torbie mówiący papier, podpisany przez samego generała Howarda, a skierowany do komendanta fortu Lapwaj. Treść papieru była krótka: Jednoręki żąda – o ile dotąd nie wysłano doń taborów z zaopatrzeniem – aby uczyniono to bezzwłocznie!

Wiadomość dla nas niezwykle doniosła! A Biały Ptak i Olikut przypomniawszy sobie słowa Wodza Józefa, spoglądali nań z uznaniem.

Należało szybko działać. Wodzowie postanowili, że najłatwiej będzie przydybać tabory w pobliżu Góry Craigsa – o dzień marszu z Lapwaj – gdzie kraj był dziki, poszarpany, przeto pozwalający urządzić zasadzkę. Tym razem mnie też zabrano na wyprawę: przydzielony zostałem do lotnej grupy Czarnego Jastrzębia. Całością dowodzili Biały Ptak i Olikut. Wódz Józef zaś został, by pociągnąć z głównym obozowiskiem kobiet, dzieci i starców dalej na wschód.

Nasze konie biegły po trawie lekko i szybko – jakby rozochocone tym, że skończyła się mordęga górskich bezdroży – toteż niebawem na nieboskłonie przed nami zarysowała się mgliście Góra Craigsa. Step dobiegł kresu. Zbliżaliśmy się do miejsca, kędy wiódł stary trakt dyliżansów z Lapwaj do opuszczonej obecnie stacji przy Wzgórzu Coftonwood – i dalej do miasteczek Mount Idaho, Elk i Florence. Mieliśmy baczyć szczególnie na ten szlak.

Koniec dnia upłynął w ciszy, również następnego ranka nie spotkaliśmy żywej duszy. Koło południa, w odległości trzech lotów strzały od traktu dyliżansów, wjechaliśmy do niewielkiego kanionu. Czarny Jastrząb, który podążał przodem, raptem osadził swego wierzchowca i dał nam ostrzegawczy znak. Po chwili dostrzegłem o dwieście kroków przed nami dwóch białych jeźdźców, bacznie rozglądających się na wszystkie strony.

Cdn.

KAJKO i KOKOSZ

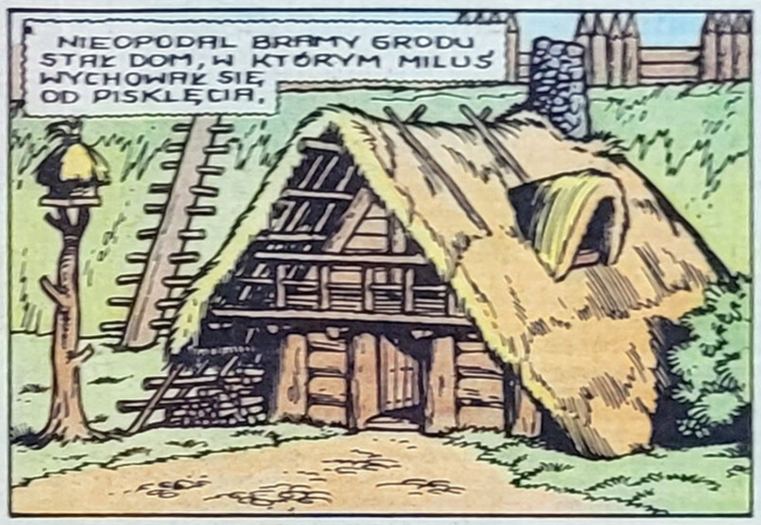

1

J. Christa

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 031556

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek Kamińska, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzchołska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY
Red.naczelny 21-15-61
Sekr.redakcji 28-25-48
Dział Łączności
z Czytelnikami 21-81-13

TELEX 81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca

WYDAWCA-RSW Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa, miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół w miejscowościach, gdzie nie ma delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV O/Warszawa Nr 1153 201045-139-11.
Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Opracowanie graficzne
Szarlota Pawel

Opracowanie techniczne
Anna Dąbrowska

DRUK: Zakłady Graficzne
Dom Słowa Polskiego

Zam. nr 4131/G O-39

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-581

W następnym numerze:

- „Chcę być kobietą domową i bardzo dobrą aktorką..." – wywiad ze Stanisławą Celińską.
- W Akcji KLAN – kolejna niepowtarzalna przygoda: „Tajemnica starego młyna, czyli..."
- Fotoreportaż Wojciecha Wróblewskiego pt. „Będziemy latać".

Jankesi znali naszą skalistą kryjówkę i po drugiej stronie rzeki Salmon pojawiały się niemal codziennie małe bandy białych awanturników. Wygrażali nam z daleka pięścią, czasem strzelali, ale zawsze bezskutecznie, a my odpłacaliśmy im pięknym za nadobne.

Pewnego dnia Skory Łabędź, patrzący z górnych skał na drugi brzeg i na poruszających się tam jeźdźców, zawołał ze zdumieniem w głosie do Czarnego Jastrzębia.

– Ten na gniadym koniu! – rzekł do zbliżającego się przyjaciela. – Przyjrzyj mu się!

– Ależ to on! Na pewno on! – zawołał przejęty Czarny Jastrząb i zwrócił się do mnie, stojącego w pobliżu: – Biegnij po lornetkę! Piorunem!

Kiedy ją przyniosłem. Czarny Jastrząb pospiesznie nastawił ostrość, a ledwo spojrzał, krzyknął:

– To on! Jack Douglas!

Jack Douglas, przypominam, był jednym z morderców Radosnej Łani, kochanej dziewczyny Czarnego Jastrzębia. Widok łajdaka otworzył nie zagojoną ranę w młodym wojowniku. On i jego przyjaciele natychmiast zorganizowali wypad na drugą stronę rzeki. Podczas gdy u nas jedni wychylali się co chwila spoza głazów, leżących nad samym brzegiem rzeki i ściągali na siebie uwagę Douglasa i jego trzech towarzyszy, inni się skradali. Prowadził ich Czarny Jastrząb. Po kryjomu zatoczyli daleki krąg i potem na dwóch łodziach ze skór bizonów przepłynęli przez rzekę. Chciałem i ja wziąć udział w tej kuszącej wyprawie, ale nie dopuszczono mnie.

ARKADY FIEDLER • MAREK FIEDLER

INDIAŃSKI NAPOLEON GÓR SKALISTYCH

13

Gdy nasi po drugiej stronie Salmon poczęli pieszo skradać się leśną gęstwą wzdłuż rzeki ku wrogom, nagle, w połowie mniej więcej drogi, w miejscu dość odkrytym, którędy trzeba było przejść przez strumyk, rozległ się odległy strzał i kula trafiła Skorego Łabędzia w ramię. Zasadzka! Widocznie jednak niecierpliwy strzelec zbyt wcześnie dał ognia, bo dopiero po upływie dwóch, trzech sekund jego towarzysze zmiarkowali się i powitali naszych kanonadą.

Nasi zdołali w porę dać nura w krzewy i umknąć; tylko jednemu kula otarła się o plecy i uczyniła mu niezgorszą rysę. Kula w ramieniu Skorego Łabędzia na szczęście nie uszkodziła mu kości.

Gdy śmiałkowie wrócili do nas i stanęli przed Wodzem Józefem, nie mieli zuchwałych twarzy. Wódz Józef patrzał na nich z zagadkowym uśmiechem w swej łagodnej twarzy i rzekł:

– Żeście zrobili wycieczkę bez mej wiedzy i zgody, nie dziwię się, bo brak wam karności. Ale dziwię się, że szliście na wroga jak stado ślepych gęsi, nie wysyłając nikogo przed siebie na zwiady. Howgh!

Mniej więcej w tydzień po naszym usadowieniu się w warowni nad rzeką Salmon zaczęło wreszcie coś się dziać w Idaho. Generał Howard wyruszył z Lapwaj niemal z całym swym wojskiem na południe, ku naszemu obozowi. Maszerował w kilku kolumnach bardzo powoli i ta powolność nas zadziwiła. Czynił długawe biwaki i jakby nie ukrywał przed nikim swej dużej siły. Czemu generał tak dziwnie postępował, czy mieliśmy przed nim uciec z naszej skalistej warowni na południe?! A jeśli na południe, to dlaczego?

Aż pewnego dnia jeden z naszych zwiadowców przywiózł ważną informację. Podsłuchał rozmowę amerykańskich oficerów na jednym z ich postojów i dowiedział się o jakichś kleszczach, o jakowymś młocie i kowadle, w które złapać nas zamierzał Howard. My między młotem a kowadłem?

Na południe od nas w istocie był silny garnizon Długich Noży w Forcie Boise i gdyby oni wzięli nad od południa, Howard zaś od północy, znaleźlibyśmy się w diabelnie trudnym położeniu.

Dokończenie na str. 7